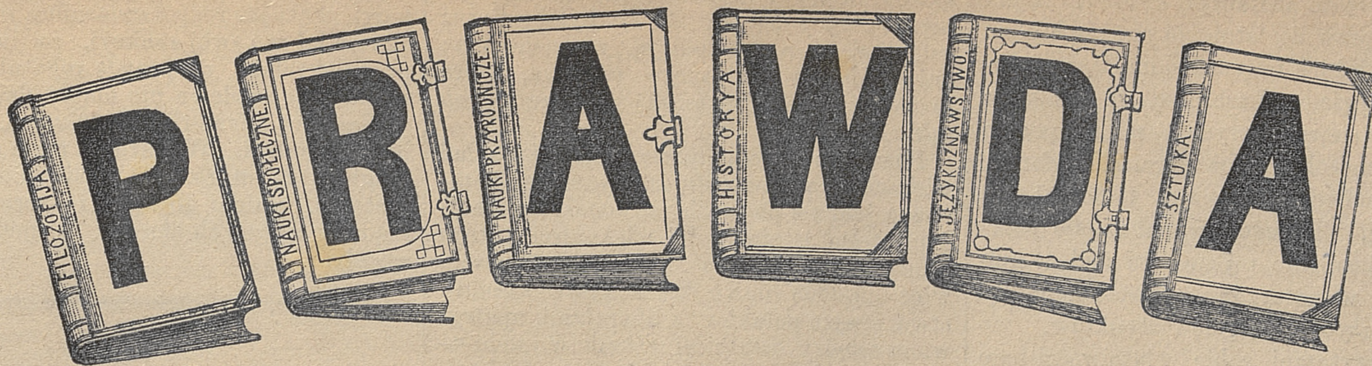
Nr. 12. Warszawa, dnia 22 (10) Marca 1890 r. **Rok X.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Szan. abonentów kwartalnych prosimy o odnowienie przedpłaty.

POLITYKA.

B I S M A R K.

Kiedy Bismark v. Schönhausen obejmował służbę w rządzie pruskim, nikt nie przewidywał, że od tej chwili rozpoczęła się nowa epoka w losach Europy; ale kiedy ten Bismark usunął się ze swego stanowiska, każdy wie, że nowa Epoka nastąpi. Cokolwiek zaś ona w swem łonie przyniesie, nie dorówna nigdy potwornością okresowi, który wraz z tym okropnym człowiekiem minął i bodaj nigdy w dziejach ludzkości się nie odrodzi. Gdy z Berlina rozprysła się na wsze strony promieniami obejmującycymi cały świat ucywilizowany wieść o dymisyi kanclerza niemieckiego, dwa uczucia zapanowały w sercach milionów ludzi: radość że odszedł i obawa, że wrócić może. Obawa ta nawet przeważa. Dopóki dymisya urzędownie nie została ogłoszona, ucieszonych nią przejmuje co chwila strach, że ona będzie cofniętą, że jakiś brzask, który nagle zaświtał, znowu zgaśnie, że ów bajeczny olbrzym, z żelaza urobiony a cierpień łaknący, ukaże się jeszcze i zacznie swemi stopami rozdeptywać uciemiężonych. O ile wszakże trwoga mija, Europa czuje, że z jej piersi spadła zmora, która na nich spoczywała od ćwierć wieku, wysysała krew, osłabiała siły, wyniszczała organizmy narodów, budzących się codzień z blademi obliczami, niemocą i rozpaczą. Nigdy teorya, twierdząca, że historyę tworzą masy a nie jednostki, nie wykazała dowodniej swego fałszu, jak wobec tego gnębiciela naszych czasów. Bliżej jesteśmy ludzi i wypadków współczesnych, niż dawno minionych, więc może rozmiary pierwszych wydają nam się większe; ale nawet odtrącając wiele na złudzenia perspektywy, nie sądzimy, ażeby żył kiedykolwiek człowiek, który by zdziałał tyle złego, który byłby takim geniuszem zniszczenia. To nie dosyć, że rozbijał państwa, ujarzmiał narody i druzgotał wszelki opór; on bowiem unieważnił prawa moralne, wypłoszył z życia wszystkie idee humanitarne, wyłączył z atmosfery swego czasu wszystkie pierwiastki szlachetniejsze, rozsiał wszędzie, dokąd ręką sięgnąć zdołał, zaraźliwe miazmaty dzikości, wszczepił zakażenie w krew Europy. Dla niego — jak sam raz szczerze wyznał — istniały tylko dwa zadania: układ z mocnym (kompromis) i starcie (konflikt) ze słabym, a jedno tylko zagadnienie, w którem streszczał całą mądrość życia, politykę i etykę, mianowicie „Machtfrage“ — kwestya siły. Polityk „realny“ — według niego — powinien być wolnym od wszelkich uczuć, zasad, ideologii, poszanowania dla praw moralnych i mierzyć jedynie swoją siłę oraz cudze, z większemi sprzymierzać się, słabsze druzgotać. Tak też postępował, a genialność jego polegała na tem, że gdy w ręku swego sąsiada lub współzawodnika spostrzegł większą od swojej maczugę, to natychmiast, szybko a tajemnie przygotował sobie jeszcze groźniejszą i czatował na stosowną chwilę do pomyślnego napadu. Charakterystyczne pod tym względem były jego mowy sejmowe. Inni ministrowie, nawet bardzo „realni,“ poruszają najrozmaitsze sprężyny życia, pomiędzy któremi są także moralne i uczuciowe; on nigdy tych „sentymentów“ nie dotykał, owszem wyraźnie niemi gardził. Każda jego mowa w sprawach polityki zagranicznej była zimnym i twardym jak żelazo wywodem z twierdzeń: ten posiada większą od nas siłę, tamten mniejszą; ten nas napaść może, tamten — nie; to zabierzemy, tamtego nie zabierzemy itd. Ani słowa o względach i prawach moralnych, o potrzebach i wymaganiach kultury, o czemkolwiek wreszcie, co nie należy do sfery uzbrojonych pięści. Mówcy wojenni ludów stojących na najniższym szczeblu barbarzyństwa nie objawiają większej dzikości w pobudkach. Temu dziwnemu człowiekowi obcem było wszystko, co jest ludzkiem, prócz — jak się wyraża jeden z filozofów niemieckich — „woli do panowania“ i pokonywania. Zdawało się, że tkankom i komórkom jego ciała brak pewnych i to najlepszych pierwiastków, że istotnie odlany został z żelaza bez żadnej domieszki. Nikogo i niczego nie kochał po za sobą i swoją władzą, niczego nie rozumiał po za swoją wolą. Jego religia nie przeszkadzała mu drwić z uczuć religijnych, jego monarchizm—podkopywać i wywracać tronów. Mianował się pierwszym sługą swego monarchy, dopóki ten monarcha był w jego ręku bierną pieczęcią do zatwierdzania jego rozkazów; natomiast gdy go nagiąć nie mógł, znieważał jak Fryderyka lub porzucał jak Wilhelma II. Opierał się zarówno na liberałach i konserwatystach a każdej chwili gotów był zawrzeć sojusz z socyalistami i ultramontanami, nawet z dyabłami, gdyby do jego rydwanu zaprządz się chcieli. Bo on wszystkie stronnictwa, wszystkie gatunki ludzi jednako cenił, to jest lekceważył, żadnego nie szanował, żadnemu po za sobą racyi bytu nie przyznawał. Często przechwalał się ze swego patryotyzmu, ale i to uczucie ograniczał obrębem swego wpływu i władzy. Jednostki i stronnictwa, które przyjmowały u niego służbę, otrzymywały godność „przyjaciół państwa“ — *Reichsfreund'ów*, a chwilą opuszczenia jej zostawały zaliczane do „wrogów państwa“ — *Reichsfeind'ów*. Kolejno używały tych tytułów prawie wszystkie partye. Państwo bowiem, kraj, naród — były to synonimy „Bismarck.“ Według tego słownika nieprzyjaciel Bismarka stawał się zdrajcą kraju. Najwyraźniej, bez przenośni mówił katechizm kanclerski: „nie będziesz miał innych bogów przede mną.“ Bóg ten każde przeciw sobie bluźnierstwo uważał za zbrodnię, każdą obrazę swego majestatu ścigał bezlitosną zemstą, nie przebaczając nikomu, od profesorów uniwersytetu aż do praczek, ścigał kacerzy

przez wszystkie instancye sądowe. A jak odmawiał praw do istnienia przeciwnikom, tak odmawiał ich innym ludom. Raz w parlamencie oświadczył szczerze, że sympatya dla obcego narodu wydaje mu się pewną postacią choroby (eine Krankheitsform). Gazety niemieckie wyznają, że dotychczas nie wiedzą, dlaczego wygnał 25,000 polaków. Objaśnienie tej zagadki znaleźć można tylko w naturze jego drapieżnych, tępieniem nasycających się instynktów.

Kto uprzytomni sobie właściwości tego dziwotworu i jego straszliwą działalność, pojmie głębokość swobodnego oddechu, jaki wydarł się z piersi Europy na wieść o ustąpieniu Bismarka. Tak nie odetchnęła ona już dawno.

Jednakże oddajmy niemcom, co im słusznie się należy. Nie każdy naród tak śmiało usunąłby twórcę swojej potęgi i chwały, długoletnie bożyszcze swych politycznych wierzeń, mózg swej głowy—w chwili, gdy on się zestarzał. Inne pozwoliłyby mu mchem porosnąć, zgrzybieć i rozpaść się, a nie ruszyłyby z miejsca świętej relikwii. Jest to wspaniały dowód żywotności narodu, no i energii jego monarchy.

Teraz patrzmy uważnie, co od tego wielkiego przełomu, od tej zwrotowej daty dziać się zacznie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Biskupi austryaccy złożyli w Radzie państwa oświadczenie, które zabrzmiało echem tych czasów, kiedy to Europa była owczarnią papieską: ni mniej, ni więcej tylko ci panowie żądają szkół wyznaniowych a w katolickich—nieograniczonego zwierzchnictwa. Wynik tedy długoletniego rozwoju i ciężkich walk, nadający szkole charakter świecki i mieszający w niej rozmaite wyznania, miałby być poświęcony na ofiarę czarnym i fioletowym sutannom. Zaiste trzeba posiadać dużo odwagi dla objawienia takiego apetytu. To też podobno rządowi i nierządowi świadkowie tej klerykalnej żarłoczności osłupieli, usłyszawszy, czego to biskupom się zachciało. W Austryi są oni jeszcze atutami, ale wątpimy, czy nawet w niej znajdzie się kiedykolwiek gabinet ministeryalny, któryby takim zachciankom użyczył swego poparcia. Bo nie byłoby to już ustępstwem, ale rewolucyą, zamachem na najważniejszą instytucyę państwa, które raczej wszystko wypuścić może ze swych rąk, niż szkołę.

Ponieważ ultramontanie wchodzą w skład większości parlamentu austryackiego i stanowią jedną z podwalin ministeryum Taaffego, więc istnienie tej większości i tego ministeryum zostało zagrożone. Zaczęto więc układać nowe kombinacye stronnictwa, spajać polaków z liberałami, upatrywano między ostatnimi członków rządu — nagle cała wrzawa ucichła. Czy biskupi, poszedłszy po rozum do głowy, po wylaniu tajemnych pragnień swego serca, wrócili na dawne stanowisko i zobowiązali się dalej popierać rząd, czy też — jak zwykle dzieje się w Austryi— cesarz osobistym wpływem pogodził zwaśnionych, dość że starcie złagodziło swój przebieg a o nowem ugrupowaniu się stronnictw nic słychać.

Tisza złożył buławę prezesa ministrów w ręce Szaparego i zaczął obcierać się i odpoczywać po błotnistej kąpieli, jaką mu opozycya od roku sprawiała. Dymisya jego jest tylko zmianą osobistą, gdyż u steru pozostało to samo stronnictwo a w części i ciż sami ludzie.

Nie długo ustał na nogach po odejściu Constansa gabinet Tirarda we Francyi: przewrócił się tam, gdzie ciała ministeryalne nie przewracają się — w senacie i to na zawadzie drobnej, bo na traktacie handlowym z Turcyą, na... rodzynkach. Spuściznę objął Freycinet, który naturalnie powołał energicznego Constansa do teki spraw wewnętrznych.

Konferencya berlińska w sprawie robotniczej odbywa swoje narady, którym z uśmiechem Mefistofelesa przypatruje się ks. Bismark. Kpi on z tego wiecu jawnie i złośliwie.

Jego dymisya, która od czwartku już nie ulega wątpliwości, zapanowała nad wszystkimi innymi wypadkami. W całej Europie a zwłaszcza w Niemczech sprawiła ona głębokie wrażenie. Za zbyt niemcy zżyli się z tym człowiekiem, za zbyt wzrósł on w ich organizm państwowy. Powody ustąpienia kanclerza nie są dokładnie znane; wiadomo tylko, że pomiędzy nim a cesarzem ujawniły się głębokie różnice w poglądach, że starość z młodością zgodzić się nie mogła. Nie chodziło tu już o dotkliwe słowa, bo jeżeli panowie swoim zwykłym kamerdynerom pozwalają się przedrwiwać, to mógł podobną swobodę języka tolerować cesarz w swoim znakomitym kanclerzu; ale ten kanclerz, nadający według konstytucyi ważność rozporządzeniom monarchy, odmawiał mu swej sankcyi, co już uczynił przy dekretach w sprawie robotniczej. Maszyna więc rządowa nie mogła działać.

Następcą Bismarka będzie gen. Caprivi, były admirał. W każdym razie chociażby dymisya Bismarka na razie nie zmieniła systemu, zmieni głęboko i szeroko skład rządu w wyższych sferach, a potem i jego zasady.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z D A L A.

Rewizya tymczasowej ustawy o pracy kobiet i dzieci. — Wyniki działalności banku włościańskiego. — Zamiar uznania rzeczywistości.—Przedsmak szału wojowniczego.

Tu na tem miejscu, z odległości naszej, o ile się da, jak myśliwy o zmierzchu wiosennym czatujący na przelot słomki, cały w uchu i oku, będę z wami, czytelnicy, łowił nieśmiało szmery i stłumione tętna życia, śledzić rzuty myśli społecznej „oddala.“ Z obowiązku kronikarza zjawisk społecznych, spostrzeganych w oddaleniu, już teraz mogę wam kilka najwybitniejszych naszkicować — nie odmalować, niestety, gdyż losowi podobało się zostawić na mojej palecie tylko barwy najbledsze...

Każda rzecz, a tembardziej instytucye i przepisy ustawodawcze, ulegają prawu rozwoju. Nie stanowią wyjątku pod tym względem i ruskie ustawy fabryczne, wydane w okresie pomiędzy latami 1882—1886. Oparte na wzorach zachodnio-europejskich, prawodawstwo to przyjęło było pierwotnie za punkt wyjścia „zasadę obrony państwowej“ robotników nieletnich. Poczynając od dnia 13 czerwca 1882 r., zasadę tę, stopniowem rozszerzaniem kontroli państwowej na wiele innych gałęzi pracy fabrycznej, rozwijano ciągle dodatnio. Z początku zakazano stosowania w przemyśle pracy młodszych nad lat 12 i ograniczono czas roboczy dla małoletnich, którzy nie doszli lat 15 — do 8 godzin dziennie. Następnie postanowienia o inspekcyi fabrycznej zawarte w prawie 1882 r. zostały uzupełnione i szczegółowo sformułowane w zdaniu Rady państwa 1884 r., w którem również dołączono przepisy o nauczaniu dzieci zajętych w fabrykach. Rok 1885 był świadkiem próby

---

1)

Sprawa Bolestraszyckiego.

KARTKA HISTORYCZNA

Z ROKU 1627.

Przez

Aleksandra Kraushara.

Profesorowi Adolfowi Pawińskiemu, dziejopisowi, poświęcam.

Szperając między dokumentami do sprawy Zygmunta Unruga, spotkałem się niejednokrotnie z nazwiskiem Bolestraszyckiego, którego analogiczna sprawa o bluźnierstwo, popełnione w druku, sądzona przez trybunał koronny lubelski za Zygmunta III, w 1627, zakończyła się skazaniem obwinionego na karę więzienia i spaleniem przez kata dzieła inkryminowanego.

Słowniki encyklopedyczne polskie, oprócz luźnych wzmianek o procesie Bolestraszyckiego, nie podają bliższych szczegółów ani o jego osobie, ani o treści książki, która była powodem skazania.

Nawet tytuł inkryminowanego dzieła i data dekretu trybunalskiego przeciw Bolestraszyckiemu, dokładnie znanemi nie były.

Siarczyński w *Obrazie wieku panowania Zygmunta III* (Lwów, 1828), Ossoliński w *Wiadomościach hist. kryt.* (Kraków, 1819), Tomasz Święcki w *Historycznych pamiątkach*, Józef Łukaszewicz w *Dziejach kościoła helwec.*; z dawniejszych zaś pisarzy, Andrzej Węgierski (*Regenvolscius*, w dziele: *Libri quatuor Slavoniae reformatae* (Amsterdam, 1679), wzmiankują w ogólnych zarysach o przebiegu owej ciekawej sprawy, lecz, nie uzupełniając wzajemnie swoich informacyj, nie mogą stanowić materyału do odbudowy procesu, na rezultat którego, w sto lat prawie po rozstrzygnięciu, bezskutecznie powoływano się w sądach, w innej, podobnej sprawie, jako na prejudikat i dowód: w jakim sposób sejmujące stany Polski pojmowały kompetencyę sądów świeckich w wypadkach obrazy drukiem panującej religii?

W wydaniu 1717 r., we Wschowej drukowanym, nader rzadkim memoriale Unruga, pod tytułem: *Relacya dyskretna*, znalazłem po raz pierwszy w całkowitej osnowie przytoczony dekret trybunału lubelskiego z dnia 21 maja 1627 roku (*feria sexta post Dominicam Exaudi proxima*) w sprawie Samuela Świętopełka Bolestraszyckiego, lecz idąc za tą wskazówką nie odszukałem w księgach wyroków trybunału lubelskiego tutejszego Archiwum głównego minuty tego dekretu. Prawdopodobnie dokument ten usuniętym został z ksiąg sądowych, jeszcze w roku 1627, wskutek uchwały sejmowej, która skasowała dekret, jako wydany z obrazą zasadniczych ustaw Rzeczypospolitej.

Okoliczność ta, byłaby w związku z wiadomością podaną przez Tomasza Święckiego (*Hist. pam.* I. 81), iż oskarżyciel Bolestraszyckiego, biskup przemyski, Achacy Grochowski, zakończył życie ze zmartwienia, z powodu nakazanego jakoby w r. 1632 przez sejmujące stany *wymazania z akt* skargi jego przeciw różnowiercom wystosowanej.

Gdy jednak uchwały z roku 1632 podobnego rozporządzenia nie obejmują, natomiast, uchwała sejmowa z roku 1627 odnosi się bezpośrednio do dekretu sądowego, przez biskupa Grochowskiego przeciw Bolestraszyckiemu wyjednanego: przyjąć można z wszelkiem prawdopodobieństwem, że brak oryginału dekretu, o jakim mowa, w księgach sądowych z roku 1627, spowodowanym został tą ostatnią uchwałą sejmową, i że dokument, w *Relacyi* Unrugowskiej zamieszczony, jest odpisem wiarogodnym dekretu trybunalskiego w sprawie Bolestraszyckiego.

roztoczenia opieki nad pracą kobiet i wyrostków. Tak pierwsze, jak drugich do lat 17, usiłowano wyłączyć z pracy nocnej w przemyśle bawełnianym, wełnianym i lnianym (przędzalniczym i tkackim). Lecz największym krokiem naprzód była ustawa o najmie robotników fabrycznych z r. 1886 w całem państwie, regulująca wzajemne stosunki między przedsiębiorcami a robotnikami pod względem warunków najmu, wypłat, kar, zmów itd. Cała ta cenna roślina państwowego regulowania wyzysku siły roboczej, zaniesiona z zachodu powiewem świadomości społecznej, jako ziarenko, nie wszędzie, nie na całkowitym gruncie młodego kapitalizmu i nie w jednakowym stopniu jej rozwoju była szczepioną. Hodowla jej musi jeszcze przebywać okres „inspektowy." Prawo z 1886 r. stosowanem jest tylko do gubernij: petersburskiej, włodzimierskiej i moskiewskiej. Atmosfera moralna młodego przemysłu, młodzieńczych apetytów, bywały za ostrą dla delikatnej płonki. Już teraz pomimo kloszów cieplarnianych duże jej gałązki, najzieleńsze—zakaz pracy nocnej kobiet w przędzalnictwie i tkactwie oraz ograniczenia co do wieku i godzin pracy dzieci — zaczynają usychać pod wpływem gorących pragnień „konieczności techniki" pewnych dziedzin produkcyi. Dlatego też prawo o pracy dzieci wydane w r. 1882, było tymczasowem, jego siła obowiązująca trwać miała po dzień 13 stycznia r. b. i dopiero niedawno działanie jego przedłużonem zostało do d. 13 kwietnia, to jest, do chwili, kiedy będzie wydane nowe — w postaci zmienionej. Projekt rewizyi tymczasowej ustawy o pracy kobiet i dzieci wnieśli już ministrowie (skarbu i spraw wewnętrznych) do Rady państwa. Zmienia on zupełnie — jak *Ruskija Wiedomosti* utrzymują — brzmienie odpowiednich artykułów prawa poprzedniego. Dzieci płci obojga niemające lat 12, nie będą dopuszczane do robot fabrycznych, wyjąwszy *zupełnych sierot* i dzieci *bardzo biednych rodziców* w wieku lat 10. Te ostatnie, za pozwoleniem odnośnych władz (komisyj fabrycznych, inspekcyj, a w braku ich — ministrów skarbu i spraw wewnętrznych na przedstawienie gubernatorów miejscowych), mogą być używane, ale w produkcyi nieszkodliwej dla zdrowia. Wykaz takich gałęzi przemysłu ogłaszanym będzie przez senat rządzący. Małoletni zaś od lat 12—15 będą pracowali w fabrykach nie więcej nad 8 godzin na dobę, ale nie dłużej niż po 4 godziny z rzędu. Wyrostkom niemającym lat 15 wzbrania się pracować od 10 wieczór do 4 rano, jako też w niedziele i dnie galowe; ale z wyjątkiem hut szklanych, w których dozwolonem im jest pracować w nocy tylko przez 4 godziny, z warunkiem stawienia się nazajutrz niewcześniej, niż o 12 w południe. Młodzież obojga płci do 17 lat wieku oraz kobiety nie będą dopuszczani do pracy nocnej w fabrykach przerabiających bawełnę, len i wełnę. Ograniczenie to, z warunkiem powiadomienia przedsiębiorców przed upływem terminu najmu, może być stosowanem i do innych gałęzi produkcyi. W razie dłuższej przerwy w robotach, nieszczęśliwego wypadku i nawału obstalunków, na przedstawienie inspektora, ministrowie mogą zezwolić na pracę nocną kobiet i wyrostków do lat 17, nawet dla fabryk, gdzie to jest wzbronionem, z warunkiem jednak stawania nazajutrz do roboty po godzinie 12 w południe. Przepisy te za zgodą obu ministrów, sposobem próby, mogą być roztoczone na zakłady rzemieślnicze, *o ile to okaże* się możliwem i potrzebnem dla ich rozwoju. Mocy obowiązującej nabierają one od kwietnia r. b. Wykroczenie przeciw nim pociąga za sobą areszt do 1-go miesiąca lub grzywnę nieprzenoszącą 100 rubli.

Niedawno ogłoszone sprawozdanie z działalności banku włościańskiego za rok 1888 dostarcza dowodów stopniowego zmniejszania się czynności tej instytucyi. Z ogólnej sumy 17 milionów na początku założenia banku pożyczki spadły do 5,400,000 rs. w 1888 r. A jednak równolegle z tym faktem można zaznaczyć inny: wzrost oddziałów banku, a zatem zakresu działalności. Tymczasem sprawozdanie określa sprzedaż dawniej nabytych gruntów włościańskich na sumę 3 milionów rubli skutkiem niewypłacalności. Jako przyczynę tak niepożądanego stanu rzeczy, tojest zeszczuplenie operacyi, zarząd banku uważa: zniżkę procentów od pożyczek w bankach prywatnych, a w szczególności — w szlacheckim, skutkiem czego zmniejszyła się skłonność u wielu osób do sprzedaży majątków, następnie spadek cen zboża, a zatem i ziemi. To właśnie miało spowodować większą ostrożność w udzielaniu pożyczek. Wymaganie dopłat przy kupnie, wynoszących obecnie 21% zamiast 10% z r. 1883 nabywanej wartości i zmuszających włościan uciekać się do długów lichwiarskich, jest główną przyczyną niewypłacalności pożyczkobiorców banku. Za to surowo jest ganionym bankowi przez prasę ruską środek używany dla pokrycia niedoborów dłużnicych. W większości wypadków grunty subhastowane pozostają przy banku z powodu braku nabywców. Z 97 działek włościańskich np. dało się sprzedać tylko 3!.. *Ruskija Wiedomosti* słusznie zwracają uwagę na jeszcze jedną z przyczyn tego zjawiska, mianowicie, na drogość kredytu udzielanego przez bank włościanom. Wiadomy jest cel tej instytucyi: należy ona do ratunkowych, ułatwiających chłopu nabycie ziemi. Tymczasem odsetki pobierane przez nią prześcigają normę prawie wszystkich hypotecznych banków w państwie. „Szczególnie rzuca się w oczy — powiada wzmiankowane pismo— wysokość opłat, ściąganych przez bank włościański, gdy się porówna go z inną — państwową instytucyą kredytową — z bankiem szlacheckim. W pierwszym procent wynosi 5½%, w drugim tylko 4½%; na wydatki administracyjne w pierwszym 1%, w drugim ¹/₈%; na umorzenie w pierwszym 1%, w drugim — ½%. Dzięki temu opłaty ogółem dosięgają w banku szlacheckim 5¹/₈%, gdy tymczasem od włościan pobiera się 7½%, to jest, kredyt dla nich wypada o półtora razy droższym, niż dla szlachty." Te głosy i im podobne opinii publicznej zostaną prawdopodobnie wysłuchane. W ministeryum finansów podobno oddawna roztrząsanym jest wniosek ściągania opłat banku włościańskiego na zasadach jednakich z należnościami państwowemi (*Dień*). Zawsze jednak te czy inne środki, wobec nieubłaganej logiki rzeczywistości, zdaniem naszem, pozostaną tak samo wyrazem dobrych chęci, jak samą jest instytucya...

Za to przejdźmy do dziedziny innego rodzaju liczenia się z przemożną rzeczywistością. Mam na myśli wniosek prawodawczy o adoptacyi i uprawnieniu dzieci, urodzonych po za uznanymi związkami. Jak *Swiet* donosi, opracowanie tego projektu w ministeryum sprawiedliwości już ma się ku końcowi. Wiadomo, że według dotychczasowych ustaw rusikich akt uznania dziecka za prawe jest niezmiernie trudnym i prawie niedającym się uskutecznić. Otóż ma to uledz gruntownej zmianie. Dzieci urodzone po za małżeństwem, lecz z rodziców, którzy następnie weszli w związek prawy, będą mogły zostać uznanemi (adoptowanemi) zapomocą samego wpisania do ksiąg metrycznych, bez wszelkiego zatwierdzenia władz. Również i procedura uznania dzieci nieprawych w razie niepobrania się rodziców ma być znacznie ułatwioną. Jednakże w tym ostatnim razie akt uprawnienia dziecka ma być *zależnym od woli ojca*. O ile sądzić można, zakres działania tego prawa zarysowuje się już w projekcie bardzo ciasno. Milczenie panuje tam zupełne o tysiącach dzieci niemających matek i ojców, istot najbardziej pohańbionych przed surowem obliczem opinii

---

I.

Wyrok trybunału.

Ród Bolestraszyckich, herbu Lis, od dóbr Bolestraszyce, w ziemi przemyskiej, nad Sanem położonych, nazwisko swe biorący, pochodził z krakowskiego.

Pierwszym, znanym w dziejach dostojnikiem tego rodu był Stanisław Świątopełk Bolestraszycki, rotmistrz królewski, za Zygmunta Augusta *).

Jeden z jego synów, Stefan, skoligacony z rodem Zborowskich, był ojcem Samuela Bolestraszyckiego, późniejszego za czasów Zygmunta III sekretarza królewskiego, bohatera sprawy, stanowiącej wątek niniejszego szkicu.

Bolestraszyccy zdawna przystąpili do nauki Kalwina i między bracią szlachtą, jako ludzie uczeni, nieposlednie] zażywali konsyderacyi.

W roku 1619 pastor kalwiński, Piotr du Moulins, profesor Akademii w Sedanie, wydał w Genewie traktat teologiczno-filozoficzny pod tytułem: *Heraclite, ou de la vanité et misère de la vie humaine* *).

Traktat ten, zabarwiony odcieniem filozofii sceptycznej założyciela szkoły Heraklitów greckich, licznych zjednał sobie zwolenników i niebawem ukazał się w przekładzie niemieckim, dokonanym równocześnie przez jedną z księżniczek domu anhalckiego — Ludwikę Amaenę **).

Przełożył też traktat do Moulina na język polski Samuel Bolestraszycki, a poświęciwszy swą pracę królowej Annie Jagiellonce, wydał go w roku 1627 pod tytułem: *Heraklit, albo o próżności* ***).

Epoka wydania tego przekładu cechowała się spotęgowaną niechęcią ku różnowiercom i wszelakim objawom wolnomyślności. Przywiedzione przez Łukaszewicza liczne fakty nadużyć, spełnionych podówczas przez studentów krakowskich i pospólstwo na osobach i majątkach różnowierców****), dowodzą, że od roku 1627 rozpoczęło się silniejsze prześladowanie dysydentów, niehamowane przez władze krajowe, a przez sądy nawet jawnie tolerowane.

W roku 1627 uczniowie jezuiccy, wraz z gminem, zburzyli zbór kalwiński w Lublinie na przedmieściu, w domu dysydenckiej szlachty Spinków utrzymywany. Trybunał malopolski zamiast ukarać przywódców bezprawia, ukarał poszkodowanych, zakazawszy im pod najsurowszą odpowiedzialnością przystąpić do odbudowania zburzonej świątyni.

Do żarliwszych przeciwników różnowierstwa polskiego należał wówczas Achacy Grochowski, sekretarz koronny królewski, za wstawieniem się Zygmunta III na stolicę biskupią przemyską w r. 1624 wyniesiony *).

Wydany przez Bolestraszyckiego przekład *Heraklita* posłużył biskupowi Grochowskiemu jako skuteczny środek zatamowania szerzącej się wolnomyślności i do stwierdzenia kompetencyi władzy duchownej w cenzurowaniu książek treści religijnej.

Zapozwał tedy osobiście biskup Grochowski Samuela Bolestraszyckiego przed sąd

*) Niesiecki, *Herbarz* (Bobr.), II, 220.

*) Z innych pism du Moulina wymieniają: *Sermons sur quelques textes de l'escriture Saincte, par Pierre du Moulin, Ministre de la Parole de Dieu et prof. en Theologie en l'academie de Sedan*. Geneve, 1625.

**) Ossoliński, *Wiad. hist.*, I, 285.

***) Estrejcher, *Bibliogr.*, X, 190.

****) *Dzieje. Kośc. helw.* Poznań, 1853, str. 274.

*) Kętrzyński, *Rękop. bibl. Ossol.* nr. 6?, t. I, 514.

społecznej. Ale nie wymagajmy dużo od prawodawcy: robi on, co może, najczęściej rola jego ograniczyć się musi do wynoszenia wody rzeszotem.

Swiet, którego specyalnością jest urządzanie nieustannych naganek na niemców, któremu z każdą wiosną siada na piersiach zmora wojny z trójprzymierzem, na wszelkie plany zaborcze wylęgłe w głowach żarłoków pruskich, odpowiada przypomnieniem tradycyjnej „żywiołowości społeczno-klimatycznej“ Rosyi (rok 1612 i 1812). „W rzeczywistości nie mamy nic do stracenia. W porównaniu do Niemiec pod względem gospodarczym i kulturalnym, można by rzec, jesteśmy prawie żebracy i to właśnie stanowi wielką naszą przewagę w wojnie odpornej... Zmuszeni do odwrotu (na co niemcy głównie liczą), będziemy palić po drodze wszystko — miasta, wsi, pola — wszystko, poczynając od mienia osadników niemieckich i posiadaczy-cudzoziemców (od nich pierwszych naturalnie zaczniemy), równie w Polsce zawiślańskiej, jak i w całym pasie ich zachodnio-ruskiego rozsiedlenia... Czego ma żałować nasz włościanin, szczególnie białorusin, jeżeli z pokolenia na pokolenie musi mieszkać w dymnej chałupie razem z kurami i prosiętami? Tutaj jest jedna tylko tradycya: kiedy nieprzyjaciel idzie, weź z mogiły ojcowskiej garść ziemi ojczystej w szmatkę za nadrze, topor za pas, widły i cepy do ręki, puszczaj na całą wieś „koguta czerwonego“ — i hajże w las!“ Wspaniały obraz, ale *Wil. Wiestnik* może twierdzić, że dobrowolny udział w nim bez popieranej „suggestyi“ byłby trudny...

Z. Atanazy.

O WYSTAWIE PARYSKIEJ

ze stanowiska inżenieryi i przemysłu.

VI.

Chociaż specyaliści twierdzą, że nic zupełnie nowego nie wystawiono w Pałacu maszyn 1889 r., jednakże nowością musimy nazwać trzy pomysły francuskie, które dotychczas praktycznego pod względem technicznym i ekonomicznym zastosowania nie mają, lecz w obecnej fazie prób budzą wielkie zajęcie i nadzieje na przyszłość. Mówimy o kierowaniu balonami Renarda-Krebsa, o przenoszeniu siły na odległość zapomocą elektryczności Marcela Depreza i o łyżwowej kolei żelaznej Giffarda-Barra. Wszystkie trzy są płodem bogatej fantazyi francuskiej i śmiałością swoją różnią się od powolnych, lecz pewnych ulepszeń i wynalazków angielskich. Wszystkie trzy mają wielbicieli i przeciwników; różnica pomiędzy nimi jest ta, że próby Renarda-Krebsa i Depreza są wynikiem rozwoju aeronautyki i nauki o elektryczności, podczas gdy pomysł Giffarda nie znamionuje żadnego rozwoju, lecz tylko postęp. Ta jego cecha jest właśnie źródłem nieufności; kolej wodnołyżwowa niema poprzedników i zakrawa na zabawkę. Imię Giffarda, który w 1858 r. wynalazł inżektor, tę genialną i dziś nieodzowną część składową parowozu — poręcza nam pewną praktyczność pomysłu, lecz gdy się dowiadujemy, że twórcą inżektora, Henryk, który umarł w Paryżu w 1882 r., niema nic wspólnego z tym wynalazkiem, a Giffard, który wpadł na pomysł tej kolei, został w 1871 zabity przez prusaków — znów nas ogarnia zwątpienie. Przypatrzmy się jednak w kilku ogólnych rysach tym trzem nowościom techniki.

Balon Renarda-Krebsa był wystawiony w osobnym pawilonie na Esplandzie Inwalidów. Przewodnik siły, według prób Depreza, umieszczonej obok Pałacu maszyn na polu Marsowem, udzielał ruchu maszynom na wybrzeżu Orsay w odległości 2 wiorst położonym od źródła siły. Kolej łyżwowa była urządzona na długości 153 metrów obok Esplandy Inwalidów. Pierwszy z tych wynalazków urzeczywistnił się między Paryżem a Creil od 1878 r. dotychczas; trzeciego wynalazku idea zrodziła się w umyśle Giffarda między 1851 a 1854 r.; urzeczywistniona w Joncheres, jego majątku, 1862 r., poszła następnie w zapomnienie, a dopiero w 1885 r. Barr zajął się spuścizną Giffarda i wykonał kolej wystawową; obecnie zaś opracowywa projekt takiej kolei miejskiej w Londynie, równolegle z wewnętrzną londyńską Metropolitan.

Opis ulepszenia w kierowaniu balonami, dokonanego przez wspomnianych dwóch francuskich aeronautów, znajdą czytelnicy w czasopiśmie *la Nature* z 1884 i 1885 r., organie znanego popularyzatora Gastona Tissandier, którego próby kierowania balonem w tym czasie doprowadziły do pomyślnego rezultatu. Tamci dwaj opisali ósemkę, ten krzywą owalną, lecz także zamkniętą; w obu razach balon powrócił do tego miejsca, skąd odleciał. Zasadniczymi rysami udoskonalenia, pozwalającego kierować balonem jest: 1) kształt samego balonu, mianowicie kształt cygara, które grubszym końcem idzie naprzód, i ma przeszło 100 kroków długości, 2) pewna ścisła spójnia i zależność (*rigidité*) łódki od balonu, 3) umieszczenie szruby na przodzie i 4) urzeczywistnienie znacznej siły motoru wprawiającego w ruch szrubę, wobec lekkości baterji elektrycznej za motor służącej.

Próby Marcela Depreza polegają na tem, że motor, który przyjmujemy za źródło siły, wprawia w ruch maszynę dynamo-elektryczną i prąd przez nią wytworzony przenoszony jest zapomocą przewodników na takież maszyny z odległości, tam wprawia ów prąd w ruch inną dynamo-elektryczną, która, z kolei, oddaje swoją siłę na żądany użytek. Próby takiego przenoszenia siły z odległości 150 kilometrów dały, ze 112 sił, tylko 52 i ze 168 — tylko 80; to jest udało mu się przenieść niecałe 50%, a reszta jest straconą (koła wodne, motor najmniej doskonały, dają 65%). Pierwsze zastosowanie przemysłowe we Francyi urzeczywistnione zostało przez Depreza w celu oświetlenia elektrycznością miasta zapomocą wodospadu, jako motoru, odległego o 15 kilometrów od miasta.

Przechodząc do trzeciego najświeższego wynalazku, musimy się ograniczyć również kilkoma wybitnymi rysami, tembardziej, że niema dziennika, któryby o kolei łyżwowej nie pisał. Ciśnieniem hydraulicznem, które się mieści w samym wagonie, łyżwa, stanowiąca pudełko bez dna, napełnia się wodą i unosi na niecały milimetr nad powierzchnią gładkiego, zupełnie płaskiego relsa (szyny): tarcie więc jest prawie żadne. Na plancie zaś drogi inne ciśnienie hydrauliczne, zapomocą odpowiednich kranów, wypuszcza strumień wody, uderzający w łopatki, pod wagonami umieszczone i stanowiące zbiorowo pod szeregiem wagonów jak gdyby turbinę prostolinijną. Oto dwa podstawowe pojęcia wynalazku. Woda użyta raz, powraca do zbiorników i ponownie działa; ciągłego tedy wydatku wody niema; na wypadek więc mrozów nie większych od 15° Barr radzi nagrzewać wodę do +16°, a dla klimatu francuskiego, żeby nie zgorzewać, zaleca dodanie do wody 20% gliceryny. Kolej ta umożliwia spadki pod kątem do 24°, podczas gdy obecne koleje (z wyjątkiem górskich zębatych) nawet 4° nie dopuszczają; umożliwia dalej szybkość do 200 kilometrów, czyli że przestrzeń z Paryża do Londynu, lub z Witebska do Rygi można odbyć w ciągu 2 godzin. Zapewnia oprócz tego bezpieczeństwo, bo nic nie może się dostać pod łyżwy, ani pociąg zejść z szyn.

Kolej taka nie sprawia żadnego trzęsienia, nie robi pyłu, hałasu i dymu. Koszta pierwotnego urządzenia jej większe są, niż zwykłych naszych dróg żelaznych, lecz eks-

---

ziemski w Przemyślu i przytoczywszy, że oskarżony przywłaszczył sobie samowolnie władzę drukowania książki skandalicznej „niejakiego Heraklita,“ naruszającej zasady wiary panującej i moralności, żądał surowej za ten czyn kary na obwinionego.

Pozwany Bolestraszycki, osobiście się broniąc, zarzucił przedewszystkiem niekompetencyę sądowi ziemskiemu do stanowienia w tej sprawie dekretu. Sąd ziemski ekscepcyę tę, jako bezzasadną, odrzucił, lecz z powodu założonej przez oskarżonego apelacyi przez forum trybunału lubelskiego, sprawa ta dnia 31 maja 1627 r. przyszła w Lublinie pod rozpoznanie kompletu mieszanego (*judicium compositi judicii*) cywilno-duchownego, któremu przewodniczyli: ze stanu duchownego prezydent Marcin Kościecki, delegat kapituły gnieźnieńskiej, ze stanu świeckiego zaś marszałek trybunału Mikołaj Mielżyński, kasztelan krakowski.

W rozpoznaniu głównej treści oskarżenia trybunał koronny podniósł winę oskarżonego w krzewieniu zasad podkopujących wiarę i moralność, której to winy nie zmniejsza okoliczność, iż książka przetłomaczoną została z języka francuskiego, gdyż, według brzmienia statutów, wymienienie autora nie zwalnia winnego od odpowiedzialności, tem więcej, że samym faktem przekładu oskarżony dowiódł, iż zasady autora podziela, za co karę przez prawo ustanowioną ponieść winien. Bolestraszycki bronił się energicznie, iż sprawa wywołaną została skutkiem osobiście ku niemu żywionej niechęci biskupa Grochowskiego, że nadto książka du Moulina nie obejmuje żadnych bluźnierstw i potwarzy i że pierwszy to wypadek w Rzeczypospolitej, aby ktoś z powodu drukowanej książki przed sądy był pociągany, tem więcej, że autor jej, w monarchii absolutnej żyjąc, nie został z powodu swego dzieła na żadną odpowiedzialność narażonym *). Obrona ta nie odniosła pożądanego skutku.

Trybunał lubelski skazał Bolestraszyckiego na sześć miesięcy wieży *in fundo*, w zamku przemyskim, pod karą banicyi na wypadek nieprzystąpienia do odsiadywania kary przed upływem sześciu tygodni od daty dekretu, a nadto na koszta sądowe w podwójnej kwocie dwustu marek (marka 48 groszy), z natychmiastową co do tego ostatniego punktu wykonalnością. Co się zaś tyczy książki du Moulina z francuskiego przełożonej, trybunał książkę tę przy odgłosie dzwonów na spalenie przez kata i jego pachołków na rynku lubelskim pod szubienicą skazał, oryginał jej ze wszystkich dzielnic kraju na wywołanie przeznaczył z dodaniem następującego końcowego zagrożenia: iż wszyscy ci, którzyby tę bluźnierczą książkę drukowali, u siebie przechowywali, sprzedawać ją lub głośno o niej mówić ważyli się, będą najsurowszemi prześladowani karami, a mianowicie: szlachta karą banicyi, plebejusze zaś gardłem i konfiskatą dóbr... *).

*) Respondet Bolestraszicino: nihil esse in accusatione ista praeter odium Episcopi privatum, quod jam ante editum hunc libellum expertus fuerit: librum nullas continere blasphemias et calumnias, se primum hoc nomine in libera Republica in jus vocari, cum author in absoluto Dominio librum hunc et plures alios praelo committere licuerit. Węgierski, *Libri quat.*, 250.

*) ...decernitque cum ea declaratione, ut quicumque hoc blasphoemum et iniquum opus imprimi fecerit, vel asservare, divendere, aut quam privatim, quam publice tractare ausus fuerit, talis persona et quidem equestris, poena infamiae, plebeis vero poena colli et confiscatione bonorum suorum omnium se subjacere sciat.

ploatacya daleko mniejszą. Jako górska kolej, zwłaszcza w razie obecności naturalnych zapasów wody, jako to jezior, rzek lub wodospadów, kolej hydrauliczna daleko mniej kosztuje niż parowozowa i urzeczywistnienie tego pomysłu w tych warunkach może istotnie być praktycznem.

Nowością wystawy jest także, lecz zupełnie innego charakteru, pomysł ustawiania kotłów parowych pod gołem niebem, który widzieliśmy na wystawie, zastosowany przez firmę belgijską De Nayera z Willebroeck. Zaniechać budowy specyalnych budynków, dla pomieszczenia kotłów, można tylko w krajach cieplejszych, niż nasz; w przeciwnym razie traci się wiele ciepła w postaci pary skondensowanej i kotłom może grozić niebezpieczeństwo z powodu gwałtownych zmian temperatury. Nadto większość prawodawstw europejskich obowiązuje właścicieli ustawiać kotły *w budynku*. Nas wszakże zajął ten pomysł ze względu na wygody palacza. W krajach wysoko rozwiniętych pod względem wymagań warstw roboczych i posiadających środki, zachowanie się robotnika względem tego pomysłu zdawało mi się być pouczającem. Oświadczył nam, ku naszemu zdziwieniu, że praca przy kotłach pod otwartem niebem bynajmniej uciążliwszą nie jest i nawet w czasie niepogody dotkliwie uczuć się nie daje. Od dwóch lat pracuje w tych warunkach w Belgii, zna inne kraje: między innemi jeździł do Peterburga gdzie De Nayer ustawiał kotły i papiernię i nic lepszego w losie palacza nigdzie nie widział. Otrzymuje w Paryżu na wystawie od swojej firmy $7\frac{1}{2}$ franków za 10 godzin pracy obowiązkowej na dobę. Pracuje wszakże faktycznie 15 godzin na dobę i za każdą godzinę dodatkową pobiera po 65 centymów, razem więc zarabia 30 franków dziennie. Wysoka zapłata wynagradza zapewne trudy; ciekawem byłoby porównać ją z zarobkiem majtka i maszynisty parowozu. U nas palacz nawet rubla, tj. $2\frac{1}{2}$ franków nie zarabia.

Kotły parowe z innego jeszcze względu zasługują na wzmiankę. Znane są usiłowania w naszych sferach przemysłowych zawiązania stowarzyszenia dla wspólnej ochrony kotłów parowych od wybuchu. W Pałacu maszyn oglądaliśmy zbiorową wystawę towarzystw francuskich właścicieli kotłów parowych: statuty towarzystwa, listę członków, katalog wypadków, o których towarzystwo zebrało dane i rysunki objaśniające, wreszcie kilkaset okazów naturalnych z kotłów pękniętych i zniszczonych. Książkę tę, zawierającą rysunki chorób kotłów, można było kupować, a przyznać trzeba, że dla technika był to nabytek bardzo cenny. Towarzystwo zapewnia swoim członkom rewizyę kotłów, dwa razy do roku, wybór i wskazówki przy nabywaniu i instalacyi, porady dążące do wprowadzenia oszczędności w opale, wreszcie próby wszelkiego rodzaju. Towarzystw takich liczy Francya 10, z siedliskami zarządów w Epinal, Lille, Amiens, Rouen, Paryżu, Lyonie, Nantes, Bordeaux, Reims i Marsylii. Kraj nasz mógłby z pożytkiem w Muzeum przemysłu i rolnictwa posiąść podatną kolekcyę okazów kotłów zrujnowanych. Obok tych okazów patologicznego stanu kotłów, nasz kraj rolniczy powinien zdobyć się na zbiory uszkodzonych części najważniejszych i najdroższych maszyn rolniczych. Kolekcye takie, o ile nie stałyby im na zawadzie same firmy fabryczne, wyrabiające owe maszyny, miałyby wielostronne znaczenie: jużto dla nabywców, jako wskazówka, którym fabrykom oddać należy pierwszeństwo, jużto dla fabrykantów, którzy mogąc korzystać z doświadczenia, ulepszaliby konstrukcyę wadliwych, najliczniej podlegających zepsuciu części.

Wystawa paryska z dziwną obojętnością traktowała sprawę wypadków profesyonalnych i pod tym względem berlińska specyalna wystawa środków zabezpieczających robotnika od wypadków zrobiła paryskiej powszechnej bardzo pożyteczną i pouczającą konkurencyę. W dziale hygieny społecznej, równie jak w dziale mechaniki ogólnej wystąpiły tylko cztery stowarzyszenia: jedno brukselskie (Les patrons reunis), dwa paryskie (Association pour prevenir les accidents de fabrique, rue Saint Fiacre 11 i Association des Industriels de France pour préserver les ouvriers des accidents, rue de la Chaussée d'Antin 6) i jedno ruańskie (Association Rouennaise pour prevenir etc. Boulv. Cauchoise 49). Instrukcye tych stowarzyszeń, tablice rysunkowe, modele przyrządów — złożyły się na całość pouczającą, lecz skromną. Zasługuje na polecenie atlas wydany w trzech językach w Mülhuzie przez księgarnię H. Stackelbergera (1889) p. t. *Collection des dispositions et d'appareils destinés à eviter les accidents de machines*. Cena tego znacznej objętości wydawnictwa jest niezmiernie nizka, wynosiła bowiem na wystawie tylko 10 franków.

A. Pawłowski.

BADANIA NAUKOWE.

EWOLUCYA URZĄDZEŃ POLITYCZNYCH.

Wypadło nam już kilkakrotnie wspomnieć nazwisko Karola Letourneau w łamach *Prawdy* z powodu ukazywania się coraz nowych prac tego badacza. Być może, należałoby uważać go za jednego z najpłodniejszych obecnie pisarzów socyologicznych. W ostatnich czasach, mniej więcej co rok, wychodzi jakieś nowe jego olbrzymie dzieło, będące zresztą w gruncie rzeczy tylko uzupełnionym przedrukiem tego lub innego rozdziału pierwszej książki *Socyologia na podstawie etnografii*. Teraz ukazała się *Ewolucya polityczna u różnych ras ludzkich* *), o której już zresztą nadmieniono w jednym z przeszłych numerów *Prawdy*. Nową tę swoją pracę Letourneau rozpoczyna rzuceniem ciekawego pytania, a mianowicie: czy zjawiska społeczne, tak różnorodne, liczne a bezładne, podlegają jakimś stałym prawom? Odpowiada on z całą stanowczością: „Po licznych a szeroko podjętych poszukiwaniach w dziedzinie poważnej socyologii, datujących się mniej więcej od dwudziestu lat, wolno to pytanie rozstrzygnąć twierdząco. Ułóżmy cierpliwie fakty zauważone, które można sprawdzić, w społeczeństwach powołanych do życia przez różne rasy ludzkie, a spostrzeżemy, iż dają się one uporządkować według pewnej ogólnej modły: chaos zamienia się na kosmos. Niewątpliwie, nie doszliśmy jeszcze do wydobycia ze splotu zjawisk praw bezwzględnych i niewzruszonych, spiżowych; lecz wszakże gmach socyologiczny jest dopiero rozpoczęty. A jednak już obecnie można twierdzić, że społeczeństwa ludzkie, jakiemikolwiek byłyby, postępują według pewnych zasad, wynikających z samej natury człowieka."

Lecz przedewszystkiem co wypada pojmować pod społeczeństwem? Dla Karola Letourneau społeczność, istotnie godna tej nazwy, rozpoczyna się dopiero tam, gdzie ukazuje się czynne a świadome współdziałanie osobników. Z tego punktu widzenia potępia on próby niektórych socyologów, którzy usiłują wyszukać rodowodu zjawisk społecznych już u polipniaków i innych podobnego rodzaju układów. Lecz swoją drogą świadome współdziałanie istnieje we wszystkich wyższych organizmów; z tego też powodu badacz francuski zapuszcza się w rozbiór społeczeństw zwierzęcych, poszukując wśród nich pierwocin rządu i instytucyj politycznych. Nie będziemy mu towarzyszyli w tych zaciekaniach i poprzestaniemy jedynie na streszczeniu ostatecznych rezultatów. A mianowicie: złożoność i doskonałość społeczna nie znajdują się w ścisłym związku z rozwojem umysłowości danego organu i zwierzęta wysoko posunięte, np. słonie, mogą wytwarzać społeczeństwa daleko niższego typu, niżeli wiele gatunków mniej rozwiniętych. Podobnie stopień doskonałości społecznej nie zależy od wykończenia organicznego jednostki i miejsca zajmowanego przez nią w hierarchii anatomicznej (np. mrówki a ssaki). Natomiast pomiędzy instynktem rodzinnym a wytworzeniem wielkich związków społecznych istnieje stanowczy a nieprzejednany antagonizm; przyczem Letourneau stara się dowieść, że teorya, usiłująca widzieć w rodzinie zaczątek i podwalinę społeczną, jest nawskróś mylna i niewytrzymująca krytyki. Wreszcie, po zbiciu poglądów o znaczeniu rozwoju umysłowego i organicznego dla wykwitu społeczności, Letourneau wypowiada zdanie, że natężenie życia gromadzkiego zależy przedewszystkiem i nawet wyłącznie od stopnia altruizmu, zapomnienia o interesach osobistych i przejęcia się cierpieniami i wzruszeniami innych, słowem, od pewnych zjawisk uczuciowych.

Z tymi wnioskami, wyprowadzonymi z badań nad społeczeństwami zwierzęcemi, nasz socyolog przystępuje do studyów nad człowiekiem. Trzyma się on tutaj dawnej swojej metody — „etnograficznej," używanej stale we wszystkich dotychczasowych pracach. Polega ona na skrzętnem notowaniu różnych szczegółów układu politycznego u różnych ras — w pewnym wybranym porządku. Przesuwają się przed nami kolejno najniższe grupy ludzkości, żyjące w zupełnej anarchii i bezrządzie, jak buszmani, eskimowie, kalifornijczycy; następnie ukazują się klany demokratyczne czerwonoskórych. W ciągu dalszym oglądamy plemię monarchiczne, istniejące na rozmaitych miejscach środkowej i południowej Ameryki, u koczowników czarnej Afryki, w Polynezyi i Melanezyi; po niem zaś drobną monarchię barbarzyńską, tak częstą w Afryce środkowej i u mongołów; wreszcie dochodzimy do wielkich mocarstw barbarzyńskich. Letourneau kreśli ustrój polityczny Peru i Meksyku, Egiptu, Japonii i „wielkiej rodziny" chińskiej. W ten sposób otrzymujemy całokształt urządzeń politycznych, spotykanych wśród grup niższych ludzkości. Przechodząc do szczepów aryjskiego i semickiego, autor trzyma się innej drogi, usiłuje bowiem już nietylko opisać istniejące instytucye polityczne bieżącej chwili, lecz nadto wykazać ich przeszłość i dowieść, że jest ona podobną do obrazu rozwojowego, który otrzymamy z ustawiania kolejnego form społecznych wśród niższej ludzkości i idzie mianowicie od republikańskiego i anarchicznego klanu po przez plemię monarchiczne i monarchii drobnej, aby na tym podkładzie dziejowym wysnuć dalsze postacie, nieznane niżej stojącym grupom rodu ludzkiego. Przyjrzyjmy się nieco zblizka temu rozwojowi politycznemu.

Letourneau przypuszcza, że punktem wyjścia dla społeczeństw ludzkich była drobna grupa rodzinna, taka, jaką widzimy dzisiaj u małp człekokształtnych. Samiec dorosły wywierał tu władzę despotyczną, przywłaszczając samice na swój wyłączny użytek i wypędzając dorastających samczyków, odkąd mogli oni stać się niebezpiecznymi współzawodnikami. Zwyczaje ślubne „umyczki" (tj. porywania panny młodej) są właśnie szczątkową pozostałością z owych czasów; samczyki wyrzucone z hordy mogły założyć własną grupę poligamiczną jedynie przez porwanie samiczki z takiej strzeżonej grupy. Atoli te zazdrosne i samolubne popędy płciowe były wysoce niekorzystne dla zachowania samej hordy, gdyż czyniły ją małoludną i pozbawiały sił mężkich. Jedynie grupy, wolne od odpowiedniego samolubstwa, mogły wzrastać w roz-

*) *Evolution politique chez les diverses races humaines.*

miary i bronić się skutecznie. Z tego to powodu, po krótszym lub dłuższym przeciągu czasu, pierwotny układ polygamiczny musiał zanikać i ustępować miejsca hordzie, złożonej z wielu samców, a zatem opartej na bezładnych stosunkach małżeńskich i anarchii politycznej; oba zjawiska były koniecznem następstwem przebywania w tej samej grupie kilku dojrzałych samców. Jest to stan społeczny, istniejący jeszcze tu i owdzie na globie ziemskim — u mieszkańców Ziemi Ognistej, papuanów itd. Z niego wyłonił się klan demokratyczny, spoczywający na prawie zwyczajowem i silnej solidarności, która posuwała się aż do spólnictwa spożywczego. Zebranie kilku takich klanów w jedną całość samolubną a wzajemnie związaną, widzimy w plemieniu. Początkowo jest ono oparte na podstawie demokratycznej. Atoli ta wyższa solidarność znajduje się w bezustannej walce z każdą inną, ościenną, powodów zaś nie braknie, porwanie kobiety, przejście terytoryum, zabicie plemieńca są ciągłemi przyczynami walki i wzajemnej nienawiści. Toczone zapasy wojenne są zgubne dla pierwotnego demokratyzmu i cofają ludzkość do despotyzmów hordy poligamicznej. W wyprawach przeciw wrogowi ta lub inna osoba wysuwa się naprzód i powoli przyucza innych plemieńców do posłuszeństwa względem udzielanej rady. Wódz taki zabiera większą niż inni cząstkę łupów, przywłaszcza sobie więcej branek i jeńców, zakłada rodzinę patryarchalną, wzrasta w bogactwo materyalne i wreszcie swoją władzę poczyna przekazywać w spadku potomkom. Ukazuje się plemię monarchiczne, w którem dokoła wodza, w dalszym zaś ciągu królików, powstaje arystokracya szlachecka. Niektóre z tych plemion wojowniczo - monarchicznych zaczynają uciemiężać sąsiadów, wcielać ich do siebie i dają w ten sposób początek drobnym monarchiom barbarzyńskim. Układ społeczny takich ustrojów polega zawsze na jaknajbrutalniejszym despotyzmie i jedynym ich celem jest grabież i podbój. Królestwo dahomejskie przedstawia wzorowy przykład tego ogniwa dziejowego, z którego drogą szczęśliwych podbojów wyrastają wielkie monarchie barbarzyńskie, jak Meksyk, Asyrya, Chiny, Egipt. Są jednakże i inne jeszcze warunki, bez których takie duże mocarstwo nie może istnieć. A mianowicie przedewszystkiem postęp techniczny i rolniczy winien dosięgnąć wysokiego stopnia i umożliwić gęste zaludnienie. Różnice społeczne są tutaj jasno zarysowane i doprowadzane do kastowości. Zarząd jest mocnoześrodkowany i oparty na całej hierarchii administracyjnej. Ludność dzięki wiekowemu doborowi nawykła do dźwigania jarzma bez myśli o zrzuceniu go i pozbawiona wielkiej samodzielności. Wskutek tego, mimo pozornej potęgi, wielkie monarchie barbarzyńskie są bardzo wątłe — kolosy na glinianych nogach. Dość aby jakiś najazd zewnętrzny, słabszy ilościowo, lecz energiczniejszy, uderzył o taki gmach państwowy, a już olbrzymie mocarstwo rozpada się i rozprzęga. A jednakże większa część ludzkości musiała przejść przez takie wpływy i podlegać czasowo hodowli służalczej w wielkiem państwie barbarzyńskiem; dzięki temu doborowi i wychowaniu w kierunku ślepego posłuszeństwa potrzebuje ona teraz całych wieków czasu, aby znowu wykształcić w sobie ducha niezależnego i samodzielność, tak częste w dzikiej anarchii. Słowem, horda pogrążona w bezrządzie, plemię republikańskie, monarchiczne, drobna, a następnie wielka monarchia barbarzyńska — oto łańcuch rozwojowy form politycznych, właściwych niższym rasom ludzkości. Wyjątek w tym względzie stanowią niektóre ludy białe. Zachowały one pierwotne gminowładztwo, doskonaląc je jedynie coraz bardziej. Ludność kabylska wykazuje dobitnie, w jak wysokim stopniu owe stosunki demokratyczne pierwszej chwili są zdolne do dalszego postępu. Poniekąd możnaby tutaj powołać się na pierwotne demokracye Grecyi i Rzymu, jedynie czasowo przechodzące przez formę monarchiczną. Zresztą rasy białe powołały do życia inną postać polityczną wielkopaństwową nadzwyczaj wielkiego znaczenia postępowego: państwo feodalne, istniejące wprawdzie i gdzieindziej, lecz w słabych zaczątkach. Dzięki względnej niezależności lenników, samodzielność członków społeczeństwa jest daleko mniej zgnieciona i swoboda polityczna może tutaj ukazać się z większą łatwością. Często zachowane tu zostają dawne urządzenia gminowładcze, powściągające samowolę możnych; z nich czasem powstają różne instytucye parlamentarne, stany generalne itd., w których nawet warstwy niższe mogą zabierać głos. Jest to pierwszy krok w kierunku zrównania politycznego klas lub kast; inne postępy dokonane zostają w ciągu dalszym, często za pomocą gwałtownych wstrząśnień. Wreszcie, po dostatecznie długich przejściach występuje parlamentaryzm, będący na pewno najwyższą i najdogodniejszą formą polityczną, w której wypadło żyć dotychczas wielkim państwom cywilizowanym. Naturalnie, układ ten jest najlepszym jedynie względnie, w porównaniu z przeszłością, i bynajmniej nie powinien powstrzymywać od sięgania myślą w dalszą a doskonalszą przyszłość.

W jednym z poprzednich numerów *Prawdy* zatrzymywaliśmy się właśnie nad owym przyszłym ideałem politycznym, do którego cywilizacya europejska ma zmierzać w rozumieniu socyologa francuskiego. Moglibyśmy wykazać obecnie, że jest ona drobiazgową podobizną ustrojów kabylskich. Mniejsza jednak o to. Ważniejszem jest zrozumienie czynników rządzących skreśloną ewolucyą polityczną, która, jak wiemy, przebiega od pierwotnego gminowładztwa przez formy monarchiczne do parlamentaryzmu. Zdaniem Letourneau, jedyną przyczyną, która zniszczyła pierwotną demokracyę, jest wojna zaborczo-łupieżcza; zresztą tego można się było domyśleć z naszego przedstawienia. Ona to zrodziła pierwotny despotyzm, arystokracyę, wielkie monarchie barbarzyńskie i zamieniła samo społeczeństwo na rodzaj ślepo posłusznej trzody. Ona to uniemożliwiła postęp dla wielkiej części rodu ludzkiego, stwarzając mocarstwa barbarzyńskie, nigdy nie posiadające zdolności do samodzielnego postępu, ginące, lecz nie doskonalące się. Rozwojowi wojny badacz nasz poświęca całą oddzielną część, wykazując jej charakter u różnych grup ludzkości; zresztą to samo czyni dla rozwoju urządzeń podatkowych.

Daliśmy w streszczeniu wszystkie główne punkty wytyczne *Ewolucyi politycznej*. Gdybyśmy dla zobrazowania każdego szczegółu przytoczyli mnóstwo faktów i skreślili kolejno w odpowiednim porządku różne etniczne układy polityczne, tak aby nasze przedstawienie z kilku dziesiątków wierszy urosło do kilkuset stronic, wtedy otrzymalibyśmy samą książkę. Charakter jej: to obfitość materyału i zupełne ubóstwo uogólnień. Czy autor wyda tego rodzaju pracę jako olbrzymie dzieło, czy jako drobną broszurę, lub wreszcie wydrukuje w postaci niewielkiego artykułu, ostateczna korzyść, którą odniósł czytelnik, jest zawsze ta sama... Zresztą jest to właściwość wszystkich dzieł Karola Letourneau, stanowiąca jednocześnie i zaletę i wadę — zaletę dla ludzi poszukujących materyału faktycznego a nie mających chęci zwracania się ku źródłom rozrzuconym, wadę zaś dla ogółu czytelników, którzy chcieliby głębiej wniknąć w bodźce rozwoju politycznego. Autor bowiem w gruncie rzeczy kreśli jedynie przebieg zewnętrzny, daje następczość prawdopodobną form politycznych, lecz nie poszukuje wewnętrznych sprężyn samej ewolucyi. Wprawdzie wyprowadza on wojnę, lecz na tem kończą się wszystkie wyniki w tej mierze. Pod tym względem książka jego stoi niżej od innych prac naukowych, które pozwalają związać rozwój polityczny, zwłaszcza wśród społeczeństw terytoryalnych, z ewolucyą stosunków techniczno-ekonomicznych. Dzięki właśnie temu nieuwzględnieniu zależności urządzeń politycznych od rozwoju ekonomicznego, Letourneau mógł się posunąć do twierdzenia, że ustrój kabylski może być formą społeczną przyszłości. W tegorocznej *Prawdzie* wykazano całą utopijność tego poglądu. W ten sposób socyolog francuski pozbawił się możności oparcia swoich badań na trwalszej podstawie. Wciąż poprzestaje on na układaniu obok siebie różnych zjawisk społecznych i kreśleniu jedynie zewnętrznego ich następstwa w czasie, lubo mógłby związek przedstawić w rodowodowej głębszej zawisłości. Przewybornie to uwidoczniło się w jego *Ewolucyi własności*. Być może nigdzie fakty społeczne nie są tak jasno związane w głębszym splocie przyczynowego powikłania, jak tutaj, a tymczasem dostaliśmy jedynie wyliczenie gołego materyału. To samo właśnie powtarza się i w nowem dziele.

Ludwik Krzywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA NIEMIECKA.

16 marca.

Berta Suttner i nowa jej powieść „Die Waffen nieder!“ — „Der Generalfeldoberst;“ skonfiskowany dramat Ernesta Wildenbrucha.

Berta v. Suttner jest dziś po Maryi Ebner-Eschenbach najcelniejszą autorką niemiecką. Zdobywszy sobie przed kilku laty rozgłośne imię „Inwentarzem duszy,“ co roku niemal występowała z nowymi utworami, które stojąc na wyżynie umysłowej pierwszego dzieła, okazywały postęp pod względem artystycznym. Dziś pojawia się nowa powieść tej sympatycznej autorki, zawierająca, jak wszystkie poprzednie, myśl przewodnią głębszą. Myśl tę wyraża już tytuł „Die Waffen nieder“ (Opuśćmy broń). Suttnerowa występuje do walki z militaryzmem, opisując okrucieństwa walki i straszliwe skutki wojen. Z nieubłaganą logiką wykazuje ona, z jak drobnych, małoznacznych przyczyn powstają olbrzymie te klęski ludzkości, których najgłębszym powodem jest kierunek cywilizacyi. Gdyby cywilizacya przesiąknięta była duchem prawdziwej humanitarności, spory państw rozstrzyganoby zawsze na drodze sądów polubownych, a życie milionów ludzi i owoce pracy długoletniej uszłyby zagładzie. Lecz dziś etyka konwencyonalna, a raczej oficyalna, potęguje sztucznie ujemne serca ludzkiego pierwiastki: próżność, żądzę sławy, hardość i bezwzględność, a wielkie zbrodnie narodów religia przykrywać musi swym płaszczykiem. Dawniej ludy wojujące zasyłały modły do różnych bogów: dziś obie armie to samo bóstwo błagają o pomoc, obie mianowane są przez kapłanów spełnicielkami woli opatrzności sprawiedliwej.

Suttnerowa nie poprzestała na satyrze. Opisując wojnę szlezwig-holsztyńską, austryacko-pruską i niemiecko-francuską, autorka ona całą tragedyę wojen, ilustrując skutki ich losem dzielnej, szlachetnej kobiety, której dzieje stanowią nić akcyi. Stosunki jej zewnętrzne zmieniają się kilkakrotnie, autorka zaś, zmagaca dobrze lud, jak sfery najwyższe, ze zwykłą swą przenikliwością przedstawia obłudę towarzystwa. Ogrzewa czytelnika oś, około której obracają się losy jednostki, stojącej w środku powieści: jest to miłość, pełna bólów i rozkoszy, oddana przez Suttnerową z realizmem dziwnie przykuwającym. O ile nam

wiadomo, żadnego z utworów Suttnerowej nie przełożono jeszcze na język polski; a należy ona do owych nielicznych dziś autorek niemieckich, których kierunek umysłowy i etyczny zasługuje na naszą sympatyę.

Niegdyś i Ernest Wildenbruch do nich należał. Autor „Menonity,“ potęgą talentu dramatycznego wybijający się ponad młodą rzeszę pisarzy niemieckich, mimo postępowego swego kierunku uznawany i przez sfery konserwatywne, nie poprzestał na wawrzynach: zapragnął dla swej twórczości nagrody, któraby lepiej rentowała. W ciągu lat paru zeszedł na eunucha poetyckiego, otrzymał ordery, tytuły i dobrą służbę cesarską. W przedostatnim dramacie jego „Die Quitrows,“ który przeszedł przez większe sceny niemieckie, mimo natrętnie i niezręcznie przebijającej się tendencyi urzędowo-patryotycznej, tlały jeszcze iskry szczerego talentu. Postępując konsekwentnie na obranej drodze, nadworny poeta przebrał nieco miarkę i napisał utwór patryotyczno-pruski, który nawet cenzurze berlińskiej wydał się zbyt szowinistycznym. Przez wszystkie pisma niemieckie przeszła wiadomość, że najnowszy dramat Wildenbrucha „Der Generalfeldoberst,“ wystawiony w Lipsku i Hamburgu, w Berlinie ukazanym nie będzie wskutek zakazu władzy policyjnej. Był to snać akt grzeczności wobec Austryi, którą poeta pruski traktuje ze skrajną niedelikatnością. Wildenbruch zdecydował się więc wydać utwór swój w formie książkowej. Był to pomysł fatalny, bo dramat ten, dla którego powodzenia niezbędną jest hałaśliwa wystawa sceniczna, dla czytelnika ma tylko strony wstrętne i śmieszne.

Jan Jeny, margrabia brandeburski i generał stanów szlązkich, pragnie bratanka swego, elektora Wilhelma wynieść na tron czeski. Akt pierwszy zapoznaje nas z wyznaniowymi i politycznymi sporami w łonie domu brandeburskiego; wynikiem ich jest ustąpienie elektora Wilhelma. Generał stanów szlązkich szuka więc innego kandydata. Nasuwa mu się elektor Fryderyk; zrazu generał nie upatruje w nim kwalifikacyi na króla czeskiego. Lecz staje się rzecz dziwna: ekstatyczna dziewica Genowefa ma widzenie: podwaliny potęgi Habsburgów pękają, a bohater, który niemi zatrząsł, zowie się Fryderyk. Wieszczka miała na myśli Fryderyka Wielkiego. Generał zaś, nie mający wyobrażenia o nienarodzonym jeszcze prawnuku swego bratanka, sądzi, że elektor Fryderyk jest owym wybrańcem losu i koronuje go w Pradze. Fryderyk jest znanym w dziejach. Zawdzięczał on koronę, jak widzimy, nieporozumieniu. W ten sposób Shakespeare pruski motyw, używany dotychczas w komedyi niemieckiej, zastosował w dramacie historycznym. Skutek jest podobny, jak w komedyi.

Ladawa.

NOWY TYP KULTURY.

Od lat kilku nie pojawiła się w Niemczech książka, napisana z tak rozległym widnokręgiem umysłowym i z tak wybitnemi cechami wielkiej, oryginalnej indywidualności, jak dzieło nieznanego autora, zatytułowane dziwacznie nieco „Rembrandt als Erzieher“ *). Autor sam siebie zwie na kartce tytułowej „Niemcem,“ a praca jego jest programem reformy życia umysłowego w duchu narodowym i artystycznym. Mimo iż dzieło to przesiąknięte jest poczuciem niemieckiem, czytelnik innej narodowości chętnie zagłębia się w jego wywody, przenosząc zdrowe poglądy autora do stosunków własnego społeczeństwa. Autor myśli w obrazach, bierze zjawiska tak, jak one się zmysłom przedstawiają, zestawia je konkretnie, wyraża się w porównaniach. Z drugiej strony posiada on zwięzłość słowa i zadziwia częstokroć niepospolitą odpowiedniością wyrazu i myśli. Oczytany niezmiernie, korzysta z najlepszych tylko dzieł, a sięgając do głębin myśli, nigdy nie przestaje być zrozumiałym, popularnym. Jest to filozofia, zwracająca się do wszystkich kół społeczeństwa.

Na wstępie stwierdza, że umysłowe życie niemców nacechowane jest upadkiem. Wiedza rozpryskuje się w specyalnościach, na polu sztuki brak wielkich indywidualności, przestała ona być pomnikową. Mnóstwo jest muzykantów, lecz niema wielkich muzyków. Niema architektury niemieckiej; wykształcenie umysłowe jest aleksandryjskiem, regestrującem. Lecz w głębi duszy narodu rodzi się prąd inny. Nasycony indukcyami, łaknie on syntezy, zniecierpliwiony przedmiotowością, pragnie odrodzenia subjektywizmu. Jest to hiperkultura, barbarzyństwo naukowe, systematyczne; potrzeba koniecznie powrócić do przyrodzonych podstaw kultury ludzkiej. Powrót ten odbyć się może tylko drogą wyrabiania indywidualności. Indywidualizm będzie pośrodkiem między dawnym idealizmem a dzisiejszym specyalizmem, artystyczny zaś pogląd na świat zajmie miejsce wypełnione dawniej przez transcendentalizm, dziś przez materyalizm. Niemcy powinni wrócić do swych ideałów, zastosować je do doby bieżącej. Nie należy powtarzać minionego życia umysłowego, jeno postępować naprzód, trzymając się potężnych, życiodajnych wzorów przeszłości. Nie dzieła wielkich jej mężów studyować dziś trzeba, lecz należy wnikać w ich istotę i kierunek umysłowy. Według autora wznieśli się na najwyższą wyżynę kultury nie uczeni, lecz artyści niemieccy; oni też reprezentują dłań indywidualizm w najszlachetniejszej formie. Najindywidualniejszym malarzem zaś był Rembrandt.

Tam tylko jest dusza, gdzie jest indywidualność. Wartość jednostki polega na tem, że jest jedyną, że różni się od innych. Dzisiejsze wykształcenie zaś, nienawistne geniuszowi, popycha do typu normalnego. Przedewszystkiem należy pomyśleć o tem, by produkcyi umysłowej wrócić cechy narodowe. Niemcom nie jest właściwą harmonia grecka; wielkie ich dzieła myśli i sztuki wyrastają, według autora, z dysharmonii. Ten styl narodowy rozwinąć należy. Tylko na tej podstawie rozwinąć się może styl zdrowy, żywotny, prawdziwy. Artystyczne wykształcenie niemców dziś jeszcze ulega kierunkowi nadanemu przez Winkelmana, następnie przez Goethego. Autor „Rembrandta“ żąda, by pomyślano o wytworzeniu stylu nie eklektycznego, nie kosmopolitycznego, lecz niemieckiego. Ażeby zaś ta indywidualność narodowa na polu twórczości umysłowej wyrobić się mogła, niezbędną jest przemiana dzisiejszego wykształcenia umiejętnego na artystyczne, czyli filozoficzne, zabarwione cechami indywidualności. Filozofować, to znaczy mieć pogląd na całość świata, a że pogląd zawsze jest indywidualnym, względnym, przeto filozofia uważaną być musi raczej za sztukę, niż za umiejętność, która dąży do przedmiotowości. Nie naukę ścisłą należy uczynić dobrem powszechnem, lecz myślenie. Tego bowiem brak dziś tym nawet, którzy sądzą, iż je zmonopolizowali. Chcemy mieć artystów myślących, dlaczegóżbyśmy nie mieli żądać, aby uczeni myśleli?

Tymi słowy rozpoczyna autor polemikę ze specyalizmem i mikroskopowem pojmowaniem świata. Przeszłe stulecie w idealizmie swym patrzało na świat *à vol d'oiseau*, nasze stulecie widzi go w perspektywie żabiej. Czas, byśmy się nań patrzeć nauczyli w ludzkiej. Perspektywa żabia, to perspektywa profesora niemieckiego. Należy ugrupować nauki przyrodnicze w sposób organiczny, pisać dzieje z poglądem etycznym, krytyki używać jako środka do spotęgowania umysłowych sił narodu, wiedzę o świecie wyzyskiwać w sposób filozoficzny. Wówczas życie umysłowe indywidualizuje się. Wyborne są ustępy satyryczne, w których autor zwraca się przeciw trywialności i krytykuje t. zw. „berlińskie wykształcenie.“

Lecz aby stworzyć niemieckie pojmowanie świata i niemiecką sztukę, potrzeba niemców, którzyby zadanie to zrozumieli; potrzeba politycznego pogłębienia narodu, spotęgowania żywiołu ludowego. Duch porządku pruskiego gnębi dziś niemców. Nieraz już w dziejach państwa zginęły tem, co je na wyżyny potęgi wyniosło, skoro nie umiały zastosować swych organizacyj do nowych warunków bytu. Trzeźwość prusaków posłużyła niemcom, dziś staje się dla nich niebezpieczną. Zimny, śmiały smak, obliczający wszystko, dorość powinien do poglądu artystycznego.

Tu rozwija autor program polityczny, który dziwnym się wyda u człowieka jego kierunku, lecz który dzieli dziś w Niemczech większość poetów, artystów i publicystów. Zwraca on się do Hohenzollernów z żądaniem, aby wzmocnili i utrwalili monarchiczną organizacyę Niemiec, z troską o sztukę. Hohenzollerni wydawali z kolei władców budujących (konstruktywnych) i ozdabiających (dekoratywnych). Obecnie po utrwaleniu budowy państwowej, czas pomyśleć o upiększeniu, o artystycznem ukształtowaniu całego narodu. Nie ze względów estetycznych, lecz ze względów polityki narodowej powinni Hohenzollerni zająć się dziś podniesieniem sztuki. Oni też powinni dbać o swobodny rozwój żywiołu chłopskiego, ludowego i typ niemiecki wspierać w walce z pruskim. W ten sposób konserwatyzm przechodzi, według autora, w liberalizm: konserwatyzm, to jest pragnienie zachowania głównych rysów charakteru narodowego, liberalizm, to jest dążenie do wolności, chęć uchronienia indywidualizmu narodowego i przekonań osobistych przed uciskiem.

Najdzielniejszym środkiem dla przeprowadzenia reform, jakich autor pragnie, jest wychowanie. Dążyć ono powinno do tego, aby człowiek z całą świadomością i ze spokojną uwagą poświęcić się mógł temu, do czego popycha go najsilniejszy w naturze jego popęd. Pedagog powinien być rzecznikiem zdrowych, dobrych stron indywidualności. Odnosi się to zarówno do osobników, jak do narodu całego. Wychowanie publiczne powinno się oprzeć o podstawę ludową, uwzględniać charakter narodowy. Prawda jest najwyższym obowiązkiem w życiu etycznem i umysłowem. Prawdziwym jest tylko indywidualizm. Wówczas dopiero naród niemiecki potężnym będzie, kiedy uświadomi sobie swe właściwości.

Pomijamy perspektywę polityczną, którą otwiera szowinizm autora Niemcom „z indywilizowanym.“ Wierni zasadzie „ab hoste docere,“ wolimy przytoczyć parę jeszcze myśli trafnych z tego oryginalnego dzieła.

Wykształcenie narodowe do tego dążyć musi, byśmy poznali bohaterstwo nie z dziejów, lecz z czynów współczesnych. Brać rzeczy takiemi, jakiemi są, to znaczy być politykiem; czynić je tem, czem być powinny, to znaczy być twórczym, być artystą. Polityka jest sztuką, sztuka jest polityką; obie dążyć powinny do tego, by naturalność na wszystkich polach wstąpiła w swe prawa.

L.

*) Lipsk, Kirschfeld.

ŚRÓD MUZ.

II.

W salonie Towarzystwa zachęty. — Trofea paryskie. — „Ewa“ Szyndlera. — Dlaczego nie dyplom honorowy? — „Nasze życie“ Piechowskiego. — Melodramat w malarstwie. — „Mojżesz“ Popiela. — Piękności Żelaznej Bramy. — Obrazy prof. Gersona. — „Chora matka.“

Kto żyw, niechaj śpieszy do salonu Towarzystwa sztuk pięknych. Na ramach

obrazów zobaczy trofea artystyczne przywiezione z pod stóp wieży Eiffel, w postaci obwieszczeń o srebrnych i bronzowych medalach oraz wzmiankach zaszczytnych. Stały gość wystawy łatwo przekonać się może, iż widok tych złoconych napisów osobliwie rozczula naszą publiczność, albowiem ułatwia jej oryentowanie się... w wartości płócien. Dlatego też za moim przykładem Towarzystwo powinnoby ogłaszać przedewszystkiem, iż do przywiezionego świeżo z Paryża towaru przybite są określające cenę etykiety.

Powtóre, zobaczy tam czytelnik i kilka prawdziwie godnych widzenia obrazów. Ot, biorę pierwszy z brzegu, „Ewę“ Szyndlera. Oddawna już nie było u nas tak powiewnej, pieszczonej roboty. Prarodzicielka nasza ma ciało Wenus Milońskiej, ślicznie narysowane i z tak pięknych krzywizn złożony kontur, tak świeżą, delikatną, rzekłbyś wonną i — apetyczną cerę, że jej autorowi powinszować można. Pomimo niezdrową, teatralną manierę swoją, zdobył się on tutaj na utwór prawdziwie żywy, choć klasycznie wyidealizowany. Nie dziw, że jak to miałem sposobność stwierdzić kilkakrotnie, panie niechętnie małżonków swych prowadzą do tej umajonej kwiatami niszy, w której ustawiono lśniącą zdaleka Ewę.

Budzi ona powszechny zachwyt, o ile naturalnie, nie obraża uczuć skromności, któremi osobliwie paradują te córy najpierwszej naszej mamy, co zatraciły acz niewinnie tradycyę jej urody. Widzowie oburzeni pytają, dlaczego to „arcydzieło“ nie otrzymało przynajmniej dyplomu honorowego, i sarkają na niesprawiedliwość opinii francuskiej. Uspokójcie się państwo! Ziomkowie wielkiego Meissoniera wiedzą co robią. Mają oni swoją własną Ewę—Cabanela a choć ją sprzedali do monachijskiego Maximilianeum pamiętają czem ona była i jest. I prawdopodobnie myślą sobie, że gdyby Jehowa miał po raz drugi stwarzać ziemię, zapewne za wzór pierwszej kobiety wziąłby również boski utwór Cabanela. P. Szyndler dał piękne ciało niewieście, szlachetny i wytwornie skończony akt, ale to ani obraz we właściwem znaczeniu wyrazu, ani kompozycya na szerszą skalę, ani zgodne z rzeczywistością studyum. Jego bohaterka posiada zalotną główkę baletnicy z przyczepionemi i kokieteryjnie przedzielonemi włosami a natomiast brak jej „antropologicznych“ szczegółów, których bezceremonialnie pomijać w malarstwie nie wolno. Mistrze włoscy w swem pogaństwie nieokiełznani ale zarazem goniący za „absolutnem“ pięknem, drażliwe kwestye wymijali zręcznie. Ręka, warkocz lub fałda szaty, zastępowały im listek figowy; woleli akademickość niż jawne kłamstwo. Zaś p. Szyndler poradził sobie bez tych wszystkich osłonek i — minął się z najpierwotniejszą prawdą, nie robiąc sobie nic z Tycyanów, Cabanelów i Siemiradzkich. Skutkiem tego jego Ewa sprawia raczej wrażenie leśnej Nimfy, niż istoty, która jest *matką* rodu ludzkiego. Jeśli gdzie, to tu nie wolno wpadać w przeciwnaturalny idealizm, bo wypadnie — śmieszność.

Ale to jeszcze niczem wobec pojęcia i oddania na płótnie samego motywu kuszenia, który też figuruje właściwie w nagłówku obrazu. Widać wprawdzie za Ewą pełzającego w trawie węża z przeraźliwie rozwartą paszczą, ale wygląda to, jak gdyby jego raczej kusił widok pulchnego ciała dryady; kąsek to dla wężowego żołądka smaczny. I cała zresztą scenerya banalności razi, mimo przyjemny koloryt, i zdaje się mówić w imieniu artysty:

— Widzicie, chciałem wam dać śliczną dziewczynę, mniejsza o to, z jaką fizyognomią i wyrazem. Dla tem poważniejszego pozoru nazwałem to kuszeniem Ewy przez gadzinę...

Ach, ta nieszczęsna pogoń za efektami dla tłumu. Ona prawie zawsze wślizguje się w najdzielniejsze nasze kreacye. Proszę stanąć przed obrazem Piechowskiego, zatytułowanym, jeśli się nie mylę, „Nasze życie.“ Na stary, odwieczny swym tragizmem wszechludzkim temat autor stworzył rzecz śmiałą i oryginalną, a więc nową. Trzy krzyże wśród ciżby się wznoszą, a na każdym z nich wije się w mękach nieszczęsny syn ziemi. Przywiązani są sznurami, a jeden z nich nadto, środkowy, przybity gwoździmi. Na głowie zwieszonej w przedśmiertnych konwulsyach ma coś w rodzaju cierniowego wieńca. Jeno ta korona nie ma nic wspólnego ze zwykłym swym geometrycznym szablonem. To jakaś gęsta plątanina chrustu, tak naturalna, jak i twarz pod nią, pół trupia, zeszpecona katuszą, istna fotografia skazańca lub ofiary pożaru; świadectwo strasznych cierpień i — dodajmy natychmiast — odważnej obserwacyi artysty. P. Piechowski zaznaczył się tu jako realista, przypominający cokolwiek Wereszczagina, i nie zbrakło mu do tego umiejętności. Albowiem na całej tej strasznej trójcy czuć najwyraźniej ślady świeżo ukończonej, katowskiej roboty, czuć z wielu subtelnych szczegółów. Dokoła krzyżów pełno też akcesoryów, urn, dzbanów, kamieni, szyderczej i rozfanatyzowanej czerni a na każdym z nich znać rękę wprawioną, jak np. na owym kolczastym krzaku kaktusu.

Ale — tu następuje koniec mojego hymnu — artysta postawił tuż obok zuchwałego prawie realizmu, efekta wątpliwe i zabawnie idealistyczne. Niewiasty zawodzące skargi pod stopami męczennika mają na sobie przedziwnie różowe, niebieskie, zielone i żółte suknie. Kolory to pełne, nasycone, soczyste, jakich nie znajdziesz w żadnym tłumie prawdziwym, a zwłaszcza zbitym, więc tworzącym mnóstwo refleksów i odcieni. A co najdziwniejsza, mimo że głowa i ręce ukrzyżowanego broczą całe we krwi, ani jedna jej kropla nie padła na którąkolwiek z tych, co według wszelkich praw natury powinnyby być obficie krwią zroszone. Na takie cuda zgoda — jeśli malarz wogóle rzecz swą traktuje nadprzyrodzenie, ale nie wtedy, gdy szorstko skądinąd zrywa z konwenansem. Wereszczagin z Schraudolphem lub Owerbeckiem to kombinacya trochę ryzykowna. A jeśliby mu nawet i ten grzech darować, to zostanie inny: że mianowicie owe przetęczowe barwy tworzą jaskrawą pstrociznę, od której bolą oczy. Jeżeli dodać, że sam układ obrazu należy do trudnych, stawia bowiem widza jak gdyby tuż przy samym krzyżu, że nadto samemu terenowi brak powietrza i wszystko jest dziwnie z sobą ściśnięte i skłębione, tedy łatwiej będzie wytłomaczyć sobie, dlaczego, gdy górna połowa płótna mile uderza męzką siłą, dolna razi brakiem smaku i wyrazistości. A i ów wrzeszczący i grożący ręką osobnik z motłochu jest żywcem wzięty z Munkaczego „Chrystusa przed Piłatem,“ a i owe nieletnie okazy urągającej tłuszczy, same w sobie dobre, wzięte są z za... Żelaznej Bramy lub Nalewek i z archaicznym nastrojem obrazu zlewają się w istny groch z kapustą.

Tego rodzaju pierwiastki mają w sobie zawsze coś melodramatycznego, grubo sensacyjnego, co jeszcze w wyższym stopniu znaleźć można w utworze p. Popiela, jak uważam, stale celującego akcentem melodramatycznym. Jego „Mojżesz po powrocie z góry Synaj,“ posiada, nieśmiałem mojem zdaniem, sporo zalet, i kolorytu i układu. Prawodawca Izraela wskazuje ręką na świeżo przyniesioną tablicę dziesięciorga przykazań i z proroczą grozą pioronuje na znikczemniały lud. Widać na dalekim planie ołtarz złotego cielca; tuż przed Mojżeszem nagie kobiety tańczą w bachanckich korowodach, przy muzyce lir i trąb; jeszcze bliżej widza kudłaty rozkoszniś baraszkuje się z rozłożoną lubieżnie egipcyanką. Któż więc słucha gromów proroka? Darmo wzrok nasz błądzi po całem płótnie; okazuje się, że szanowna publiczność na pustyni nie widzi zgoła rozdeklamowanego swego wodza-aktora... *Tableau!*

To znaczy, że p. Popiel tak się zapędził w pogoni za efektownymi wizerunkami zepsucia i rozpusty, iż uczynił Mojżesza darmo wołającym na puszczy. A prawda! Za jego plecami dwaj izraelici zdają się brać do serca płomienne słowa i przybierają poważniejsze miny. Wyznam, że to już zbyt śmiałe nicowanie Biblii i — zdrowego sensu, boć chyba najpierwszy bodaj moment powrotu wielkiego powiernika Niebios musiał go otoczyć tłumami i podziwem.

Chcąc nie chcąc muszę wrócić za Żelazną Bramę. Z jej bowiem targu zaczerpnięty motyw posłużył za temat Pankiewiczowi. Wielkie stragany owoców i warzywa — doskonała sposobność do popisu kolorystycznego — udały mu się znakomicie i zachowały całą swą plastykę i rodzajową malowniczość, o której przekonać się może każdy, gdy ogólnym, impresyonistycznym rzutem oka obejmie odnośny szmat którego z naszych rynków. Zaś stojąca śród tych darów bożych stara przekupka jest wprost typem doskonałym i, rzekłbyś, dobrze i osobiście ci znanym. Patrząc na podobne do niniejszego obrazy, można się nauczyć wiele, bo można pojąć ile ciekawych dla malarza motywów przedstawia najpowszedniejsza, najprozaiczniejsza fizyognomia ulicy, gdy na niej położy swe piętno uromaicona barwa i to, co się nazywa charakterem, rodzajowością. Perspektywa obrazu tego, zapełniona służącemi, gosposiami, tragarzami, budynkami już mniej nam trafia do przekonania.

Do ogromnego kartonu prof. Gersona podchodziłem z pięć razy, zawsze z nowym zasobem wytrwałości w rozwiązaniu szarady, którą przedstawia „Apostolstwo.“ I odkrywałem też za każdym razem nowe twarze królów, dworzan, żebraków, niewiast, dzieci, dokoła sceny męczeństwa na krzyżu, płaczących, wymachujących rękami, padających sobie w objęcia. Gdybyż ten tłum był chociaż skupiony w jedną wyrażającą coś masę! Ale każdy tam błądzi samopas, każdy na własną rękę deklamuje patetycznie oczami, ustami, rękami, nogami, nie wyłączając niedorostków. Nie czuć w tem wszystkiem ani grozy, ani melancholii, ani elegii, a przecież to obraz nie rodzajowy, a więc nie wolno mu być zimnym, mdłym, spokojnym, szkoda tylko kilku wyborných typów dziadowskich, zabłąkanych tu i owdzie i szkoda dyskretnego, ładnego krajobrazu.

O ile smaczniejszym jest „Dwór Kazimierza Sprawiedliwego!“ Wprawdzie i tu nie brak słodyczy rozlazłej, niewieściej, jak np. w owym dworzaninie trzymającym kwiatuszek, albo w fizyognomii samego króla, który gra na organkach. I tu odwieczne mnichy z nosami zagłębionemi w stare księgi, a także rozmaite figury nieokreślonego znaczenia i ogólny, nieprzyjemnie miękki nastrój, przypominający eunuchowy pędzel Aleksandra Lessera, ale z tem wszystkiem mile wabi oko harmonia kolorytu, pewien polot w rysach braciszków słuchających gry, co prawda polot raczej Szyllerowski, niż polski, i kilka istotnie ładnych twarzy, jak królowej i jej dzieci. Szczególna rzecz, gdy Matejko powodując się naiwną antropologią, ludziom dawnym — a także i rumakom — daje kształty gigantyczne, jędrne, muskularne, Wojciech Gerson na ostatnich swych obrazach przemienia się — dziwne to nabożeństwo — w kobietę i traktuje motywy historyczne i bohaterskie z sentymentalną rzewnością, z tym samym akcentem, jaki przebija w opowiadaniach dziejowych, przeznaczonych dla dzieci na gwiazdkę.

Mniej patryotyczno-apostolskich rozmachów, ale za to więcej zalet posiada obraz p. Mańkowskiego. Jeżeli chodziło mu o wywołanie wzruszenia kontrastem wielkiego, krzepkiego mężczyzny z jednej, i dziecka, śpiącego spokojnie w kołysce — z drugiej

strony, tedy celu swego chybił a i sama rozrzucona poza piastuna niema w sobie nic pociągającego i zrozumiałego. Lecz samo dziecię cechuje skromna a prawdziwa poezya snu i niemowlęctwa. Naiwną twarzyczkę Milusińskiego oblewa padające z okna światło. Jest to główka ładna, przekonywająca i dużą plastyką swą i tonem i szczęśliwem uniknięciem ckliwości, do której tak skłonni są, gdy idzie o dzieci — malarze niemieccy.

O wielkiem płótnie pana Rosena, które tułało się długo po świecie, zbierając laury i szyderstwa, nie mówię szerzej, żeby nie odgrzewać dawno wyczerpanego tematu. Natomiast w przypuszczeniu, żem laureatów wystawowych przejrzał wszystkich, napomknę słówko o utworze p. Zdzisława Jasińskiego p. t. „Chora matka.“ Tem słówkiem będzie: „szczery.“ Inaczej trudno określić ciekawe to bądź co bądź dzieło, mające nadto przywilej podobania się zarówno u nas jak w Monachium, gdzie, jeszcze pod dachem Akademii, ujrzało światło dzienne. Artysta pracował nad niem sumiennie i racyonalnie, akcesorya wszystkie malował starannie z natury, ale dobrał je i to szczęśliwie, własną intuicyą. Niepodobna zarzucić coś temu charakterowi prostej, robotniczej izby z jej nędznem umeblowaniem, podwiędłem na oknie gieranium, niewyszukanemi zabawkami dzieci i obierzynami kartofli na podłodze. Wieje stąd prawdziwy, niefałszowany duch poczciwego ubóstwa. Matka leżąca na barłogu wzrusza niemal swem bolesnem wejrzeniem i zczerniałą, wychudłą, a jednak troskliwie patrzącą twarzą. Tu niema afektacyi ani za grosz, jak niema jej w dziewczynce, która stoi przy łóżku i mnie fartuszek dla powstrzymania łez, jak niema jej w dwojgu drobniejszych dzieci, które nieświadome smutku domowego, bawią się nieopodal. Jedno z nich, co prawda, zamiast zamierzonego przez autora uśmiechu, zdobyło się na niewyraźny grymas; lecz drugie, dziewczynka, ma doskonały, naiwny profil. Afektacya zaczyna się na mężu chorej, który zbolałą twarz ukrył w dłoniach. Jego ruch z punktu widzenia ekspresyi jest dobrym, niedwuznacznym, szczerym, ale jakiż to mąż płacze jawnie nad żoną, w której oczach widać ciężką niemoc, ale nie konanie? Wiem, że to zarzut często literacki, wiem, że drużyna Apelesowa drwi z tych, co szukają konsekwencyi i logiki w układzie, bo jej chodzi o jaknajwiększą liczbę postaci, ruchów, póz, wyrazów, bo ona patrzy na to, czy nastrój wewnętrzny uwydatnił się wymownie i charakterystycznie na zewnątrz — ale literaci zawsze wymagać będą, żeby nietylko w pojedynczych figurach, ale i *grupach* całych był sens i prawda. Oburzano się na mnie, że w „Kłótni huculów“ Szymanowskiego dziwiłem się chłopu, który odciąga ręką swego towarzysza, zanim ten powziął zamiar bójki i gdy strona przeciwna żadnych jeszcze kroków wrogich nie poczyniła. Jak można — wołano, skoro ruch odciągania jest tak świetny! Bardzo to piękne — ale ja nigdy nie podnoszę łyżki do ust, kiedy waza jeszcze w kuchni.

Cezary Jellenta.

TEATR RUSKI.

Z szeregu rzeczy błahych i płytkich, odegranych na scenie tearu Wielkiego przez trupę ruską, wyróżnić należy najpopularniejszy z utworów, *Rewizora* Gogola. W Warszawie po raz pierwszy wystawiono go teraz w całości. Gogol należy do pisarzów, nie prędko zapominanych. Potrafił on podpatrzyć znamienne rysy swego społeczeństwa, które w znacznej części są organiczne i nawet przy zasadniczej zmianie warunków nie prędko się zatrą. Dlatego głęboki satyryk, niemiłosiernie chłoszczący swoich współbraci, pomimo iż dzieli go przeszło pół wieku od dzisiejszego pokolenia, nie zatracił świeżości. Rewizor, to postrach dla klasy urzędniczej w zapadłem miasteczku. Najazd mongołów nie zrobiłby tak okropnego wrażenia, jak wieść o jego przyjeździe. Bo też sumienie, szczególnie prezydenta, ma co dźwigać! Przed pięciu laty otrzymał pieniądze na budowę cerkwi. Utonęły gdzieś bez śladu, a świątynia, będąca na ukończeniu, jak głosił raport, zniszczoną została przez pożar do szczętu, tak iż nawet kamyka po niej nie pozostało. W miasteczku nieporządki, nieczystości taka masa, że niepodobna ich usunąć. Prawda, że straży miejskiej, pokrzepianej od rana do nocy oczyszczoną lub siwuchą, nie zbywa na energii, ale też się odbija ona tylko na twarzach mieszkańców, ozdabianych sińcami. Nareszcie zjawia się rewizor, wielki dygnitarz. To urzędnik nielada, to jest „figura,“ posiadająca wielkie wpływy w stolicy i żyjąca z ministrami za pan-brat; ale nie tak straszny, jak go sobie wyobrażano: łaskawy, przystępny, setki bierze chętnie, nawet dziesięciorublówkami nie gardzi, pije wino i wódkę zwyczajną, na wszystko patrzy przez palce. W końcu najadłszy się, napiwszy do syta, nazbierawszy sporo pieniędzy i próśb urzędników, denuncyacyj wzajemnych, zmyka przed... rzeczywistym rewizorem. W miasteczku rozpacz! Okazało się, że to nie był żaden dygnitarz, ale zwyczajny Chlestakow, wydrwigrosz, mizerny przepisywacz, który tak znakomicie zdołał skorzystać z poruszonych oczekiwaniem umysłów. Takie jest tło sztuki, na którem przewija się mnóstwo pomniejszych postaci, nurzających się w kałużach po szyję, lub zlekka tylko obryzganych. Nad wszystkimi góruje burmistrz, którego najlepiej charakteryzują jego własne słowa, szczerze wypowiedziane w przystępie rozpaczy po ucieczce oszusta: „Jakżem głupi, baran, rozum straciłem na starość; trzydzieści lat spędziłem na służbie, żaden kupiec lub dostawca nie mógł mię w pole wyprowadzić; przywódców oszustwa jeszcze zdolny byłem oszukać, łotrów i rozbójników, coby świat cały okraść potrafili, jabym w kozi róg zapędził; trzech gubernatorów orznąłem; co tam gubernatorów! niema nawet co o nich mówić... i patrz, patrz, świecie cały, chrześciaństwo całe patrzcie, jak prezydent zgłupiał!..“

Wszyscy artyści odegrali sztukę starannie.

W parę dni po *Rewizorze* wystawiono *Miejsce intratne*, dramat znanego pisarza, Ostrowskiego. I tu galerya typów... obryzganych, ale o wiele przewyższających mistrzowstwem w swoim fachu postacie Gogola. Arystarch Wyszniewskij, naczelnik biura w Moskwie, to potęga, przed którą drżą liczni podwładni. Umie dobrze zawiązywać węzły i końce wsadzać do wody, a więc posiada majątki, kamienice, karety, brylanty itd. Grubym i przestronnym płaszczem swojej działalności okrywa szeregi innych, którzy przed nim kornie zginając kark, doczekali się także domów i powozów. W końcu przebiera się miarka; połę płaszcza uchylił nagły powiew kontroli i zdmuchnął wszystkie majątki naczelnikowi biura, który ze wzruszenia, tknięty atakiem apoplektycznym, umiera. Z całej grupy brudnych postaci wyróżnia się jedna dodatnia: Bazyli Żadow, siostrzeniec Wyszniewskiego, brzydzący się łapówkami i kradzieżą. Przekłada on ciężką pracę uczciwą nad „intratne miejsce.“ Dobrze odtworzyli wybitniejsze postacie sztuki Ostrowskiego panie: Głama-Meszczerska, Koszewa i Siemionowa i panowie: Miedwiedjew, Kisilewskij, Sołonin i Walentinow.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Po siedemnastu wiekach.—„Rybak“ Lucyana. — Gdybyśmy powtórzyli połów jego wędką. — Odczyty na dochód Osad rolnych na pochyłości. — Chybione próby z Krakowem. — Zbytnia wymagalność od słuchaczów. — Burza w adwokaturze. — Jej przebieg według opowieści dwu przeciwników. — Sąd honorowy? — Odstąpienie od normy.— Protest przeciw wyrokowi.— Potrzeba ustalenia dobrego zwyczaju.

W pewnych właściwościach swojej istoty człowiek tak słabym ulega przeistoczeniom, że niektórzy historycy cywilizacyi ogłosili za fakt cząstkową niezmienność natury ludzkiej. Jest to złudzenie, ale z drugiej strony zaprzeczyć trudno, że w tej naturze są pewne pierwiastki zasadnicze, opierające się mocno zmianom postępu. Na początku, równie jak na końcu drogi rozwojowej, spotykamy bardzo podobnych do siebie: dobrotliwców, okrutników, skąpców, oszustów itd. Przed siedemnastu wiekami słynny pisarz grecki, Lucyan z Samosaty, napisał satyrę na swoje społeczeństwo, w której wyszydził filozofów, pod osłoną pozorów mądrości goniących ponęty życia. Po siedemnastu stuleciach powinniby przecie ludzie i ich stosunki przekształcić się do gruntu. Tymczasem w r. 1890 znajduje się w Warszawie p. E. Weidel, który uznaje, że satyra Lucyana może być jeszcze dobrem zwierciadłem czasów obecnych i tłomaczy ją na język polski (p. t. „Rybak czyli zmartwychwstali filozofowie,“). O co w tym utworze chodzi? Zmartwychwstali mędrcy chcą ukarać śmiercią autora (Szczerousteg) za znieważanie ich pamięci i nauk. On prosi ich o przedstawienie sprawy na sąd Filozofii, oraz Cnoty, Mądrości i Sprawiedliwości, przed któremi tłomaczy się, że nie napadał mistrzów, tylko obłudników, którzy nadużywają ich nazwisk dla zakrycia celów, niemających nic wspólnego z nauką. Ażeby złożyć sądowi naoczny dowód, woła on z Akropolu: „Pójdźcie tu wszyscy, którzy mienicie się filozofami... Dostaniecie w podarunku po dwie miny i wybornym placku. Nadto każdy, który ma długą brodę, otrzyma dodatkowo marmoladkę z fig...“ Zaroił się Akropol „filozofami,“ ale gdy sąd zamierzył zbadać zgodność ich życia z zasadami — wszyscy zaczęli uciekać i zeskakiwać z tarasu. Wtedy Szczerousty robi wędkę, a przyczepiwszy do haczyka po kilka fig i kawałek złota, rzuca przynętę na dół: kolejno łapią się cynicy, platonicy, arystotelicy — itd., których on wyciąga i zarówno swych oskarzycieli, jak sąd przekonywa o moralnej nicości owych „ryb.“

Czy dziś są takie „ryby“ i czy udałby się taki połów? Istotnie pewna zmiana zaszła: ród „filozofów“ rozmnożył się na gatunki: patryotów, obywateli kraju, zacnych mężów, czcigodnych pisarzów itp., a figa przestała być pożądaną przynętą. Należy więc ją zdjąć z haczyka i obok złota zawiesić: zaproszenie na obiady, nominacyę na korzystną posadę bez pracy, łaskę bankiera lub arystokraty, srebrny kaganiec dla milczenia lub butelkę wina dla ożywienia języka — a wtedy Szczerousteum zbraknie sił do wyciągania wędki. Lucyan opowiada, że pewien król egipski nauczył małpy tańca wojennego. Ponieważ mają one dar naśladowania ruchów ludzkich, zręcznie więc pląsały w purpurowych szatach i maskach. „Jakiś czas widowisko szło przyzwoicie, aż ktoryś z widzów, obdarzony większym dowcipem, rzucił pomiędzy nie garść orzechów, które trzymał w zanadrzu. Małpy, zobaczywszy orzechy, wnet zapomniały o tańcu i wszystkie naraz stały się małpami: pozrywały maski, pozdzierały szaty i rozpoczęły walkę...“ Ach, ileż razy to widowisko powtórzyło się i powtórzy jeszcze! Ciągle ktoś uczy małpy tańczyć i ciągle ktoś im rzuca orzechy, na widok których one przestają być baletnicami.

Jeżeli z 600 członków Towarzystwa muzycznego przybyło na zebranie doroczne 46 (co, nawiasem mowiąc, zgadza się zupełnie ze zwyczajami naszych stowarzyszeń), to widok tej drobiny nic tyle świadczy o osłabnięciu jego żywotności, ile garsteczki wspyjące się do sali ratuszowej o zaniku upodobań ogółu w odczytach na korzyść Towarzystwa Osad rolnych. Dzieci pamiętają, jak potężną siłę przyciągającą niedawno jeszcze posiadała ta katedra, nad którą unosił

się nimbus nietylko naukowy. A dziś? Po za szczupłem kółkiem żądnych wiedzy w żywem słowie, uczęszczają na te wykłady tylko ci, którzy prelegentowi chcą okazać życzliwość lub też nie mają czem innem „zabić czasu“ (takich zabójców mamy sporo— w wielkim poście). I jakaż jest przyczyna tej obojętności? Naturalnie wszelkie sitko stare nudzi nas, a nowych potrzebujemy często, bo nie jesteśmy narodem wytrwałych uczuć i silnych zasad, ale chwilowych i nagłych pobudzeń. Lecz i sama instytucya zawiniła przeciw swojemu i ogólnemu dobru. Pokutuje w niej przesąd, że bez Krakowa niema zbawienia dla jej kasy. Mniemanie to było do pewnego stopnia słusznem, dopóki na koncerty odczytowe Towarzystwa Osad rolnych zjeżdżał prelekcyjny Mierzwiński — hr. Tarnowski, którego wysokie *cisy* zachwycały arystokracyę i jej mieszczańskie przyczepki. Ale od czasu gdy on nie występuje, Kraków przysyła prelegentów, którzy powodzeniem swem nie mogą się mierzyć z tutejszymi a zeszłego roku w porównaniu z tryumfatorem odczytów p. Ochorowiczem byli Chodakowskimi i Seidemanami wobec Myszugi. Nie lepiej udał się import w roku obecnym. Jeden z profesorów galicyjskich mówił o rozwoju i upadku rycerstwa w Europie — dla tej sprawy można jeszcze z publiczności zrekrutować gromadkę słuchaczów; ale drugi prawił o... reformie prawa spadkowego w Niemczech. Już niech mi daruje p. Milewski, ale na to trzeba nie widzieć żadnej różnicy pomiędzy auditorium uniwersyteckiem, w którem siedzą studenci prawa, a salą, w której zbiera się przypadkowa, z najrozmaitszych żywiołów umysłowych złożona mieszanina. Co tych ludzi może obchodzić „reforma prawa spadkowego w Niemczech,“ nawet okraszona wywodami o granicach podzielności roli? Nie wymagajmyż od nich za wiele. Ta sama prelekcya, ogłoszona w Berlinie, nie ściągnęłaby wielu amatorów, a cóż dopiero w Warszawie. Jeżeli zaś przez kilka lat z rzędu powtarzają się bądź nieudolne, bądź zbyt specyalne wykłady, to nie dziwnego, że publiczność, płonąca do wszystkiego słomianym ogniem, szybko ziębnie i zniechęca się do tej katedry, która kiedyś nietylko dawała jej korzyść umysłową, ale i rozkosz uczuciową. Towarzystwo Osad rolnych winno koniecznie postarać się o wskrzeszenie dawnej tradycyi swych odczytów zarówno w interesie kasy, jako też... Ech, czyż potrzebuję więcej o tem mówić!

Warszawa, niby pusta izba, posiada znakomity rezonans dla najcichszych szeptów, półsłówek, osobistych swarów i skandalów. Jak w podziemiach paryskiego Panteonu lekkie uderzenie pręta odbija się straszliwym hukiem, tak u nas byle mlaśnięcie języka natychmiast rozlega się grzmotem. Dzięki tym akustycznym właściwościom „syreniego grodu,“ od kilku tygodni „tout le monde“ zajmuje się sprawą zajścia między dwoma adwokatami, która wreszcie dobiegła do końca, a ja muszę ową szmatę rozwiesić przed czytelnikami. Tak, muszę, gdyż skandal napęczniał do rozmiarów faktu ważnego a przytem ugrzązł w nim żyd. Zamilczeć, chociażby z prostej odrazy do przekluwania niewonnych bąblów, o moralnej wysypce żyda — znaczyłoby to wywołać przeciw sobie koncert wszystkich wyjców antisemityzmu.

Nie wiem, czy zauważyliście, że prokuratorzy w stosunkach prywatnych bywają adwokatami, adwokaci zaś — prokuratorami. Zdaje się, jak gdyby bezwiednie przywracali sobie wewnętrzną, naruszoną w jednostronnem dążeniu, równowagę za pomocą odchyleń w kierunku przeciwnym: pierwsi ciągle oskarżając — czują potrzebę bronienia, drudzy ciągle broniąc — czują potrzebę oskarżania. To odzyskiwanie równowagi stało się właśnie powodem wybuchu w tutejszej izbie obrończej. Niektórzy z wrażliwszych jej członków doszli — tak słychać — do przekonania, że ona coraz bardziej staje się kuźnią plotek, oszczerstw i lekkomyślnych a złośliwych twierdzeń, rodzajem zaocznego sądu na cech obrończy i wielu ludzi zajmujących wydatne stanowiska, teatrem, przedstawiającym Warszawę niby ogromne bagno, w którem brodzi i nurza się gromada kaczek. Naczelnym kowalem tej kuźni, prezesem tego sądu, reżyserem tego teatru miał być jeden z adwokatów, który broniąc zwykle najcięższych przestępstw, z natury rzeczy dopełniał się najcięższemi oskarżeniami. Razu pewnego zdarł on moralny skalp z nieobecnego kolegi, obciążywszy go zarzutami nieuczciwego postąpienia w kilku sprawach i zapewniwszy słuchaczów, że winowajca oddany był pod sąd, któremu się wymknął. Może ów kolega byłby wzruszeniem ramion strząsnął z siebie ten zaoczny grom, ale wyparty przez innych, wyrzucony przez wezbraną falę, stanął do walki jako mściciel swoich i nieswoich krzywd. Zaczęły krążyć wzajemne wymysły mówione, pisane, hektografowe, przez kilka tygodni trwała ulewa słów obelżywych, aż wreszcie obie strony oddały swój zatarg do rozstrzygnięcia zarządowi Kasy adwokackiej. Zarząd ten z ustawy swojej nie jest instancyą dla tego rodzaju procesów, więc prawdopodobnie przybrawszy na się charakter sądu honorowego, uznał obu przeciwników winnymi, a następnie, już we właściwej swej roli, jednego z nich wykreślił z listy członków Kasy za nieprawidłowe i z obowiązkami niezgodne czyny obrończe, a drugiemu udzielił napomnienie za niesforność języka.

Taki mniej więcej odmalował się obrazek rodzajowy farbami obustronnych oskarżeń. Nie oceniam ani tych barw, ani tych wideł o nierównych ramionach, na które zatknięci zostali obaj „sofiści XIX w.“ — jak swój stan nazywa p. Spasowicz; nie badam słuszności i prawdy odzywającego się tu i owdzie pomówienia, jakoby na większą surowość kary względem jednego wpłynął niedojrzały i gorzki owoc działalności literackiej a na łagodność względem drugiego — zyskany kult w tutejszej adwokaturze; nie przyczepiam wogóle do treści tego procesu żadnej mojej ufności lub nieufności dla tych lub owych twierdzeń, gdyż naprzód nie znam całkowicie materyału dowodowego a powtóre sam wątek sprawy nie spoczywa na szalach interesu publicznego szczególną wagą. Kłótnia dwu adwokatów i ich przewinienia są wypadkiem drobnym, wszędzie pospolitym. Chcę tylko zatrzymać uwagę czytelnika na objawie ogólniejszym, który z tej awantury się wyłonił. Nie ulega wątpliwości, że sądy honorowe, w zasadzie swojej tak piękne a nam tak niezbędne, nadwyrężyły zupełnie u nas swój kredyt. Zwykle bowiem bywają to operacye, w których aniota trochę się smoli, a dyabła bieli i obu szarych lub sprzęgowanych a blizko do siebie upodobnionych wypuszcza się w świat. Charakterów prawych i nieugiętych, któreby miały odwagę dyabła nazwać dyabłem, anioła — aniołem, czarne — czarnem, białe — białem, zwłaszcza zaś wyraźnie napiętnować występek — długo a często daremnie szukać trzeba. Najuczciwsi ludzie z takiego podfarbowywania robią jakąś powinność obywatelską a właściwie tylko ośmieszają i zniesławiają samą ideę. Otóż sąd koleżeński w powyższej sprawie troszkę się oddalił od tego banalnego i niedorzecznego typu. Mniejsza o to, czy wyrokował słusznie, mógł zresztą nawet używać bielidła i czernidła, niezaprzeczenie złożył na głowę kozła grzechy ludu adwokackiego czesto popełniane—bo iluż zbrukanych „sofistów XIX w.“ okrywa bezkarność szerokim swym płaszczem! — w każdym jednak razie przyznać mu trzeba, że okazał wyjątkową u nas odwagę i stanowczość —wypowiedział *coś* wyraźnie. Jak dalece jest to objaw u nas niezwykły, przekonywa zachowanie się jednego z osądzonych: podobno odesłał on zarządowi Kasy (?) otrzymany przed kilku laty pierścień za świetną obronę kolegi i zażądał wykreślenia swego nazwiska z listy członków tej instytucyi. Byłoby to... po naszemu! Albo sąd honorowy jest komedyą, odgrywaną na korzyść jednej strony, czego dojrzali ludzie urządzać sobie nie powinni, albo też bezstronnem sumieniem, posiadającem zaufanie obu, a wtedy obie obowiązane są bezwzględnie poddać się wyrokowi tych, którym same powierzyły swój honor. Tymczasem w obecnym wypadku jeden z przeciwników już zaprotestował; czemuż by nie miał tego uczynić drugi, zwłaszcza że został surowiej ukarany? Nie posiada pierścienia, z listy członków Kasy został wykreślony, ale przecie może... Albo ja wiem, co może i zechce...*) Jeżeli zaś takie mają być dalsze ciągi wyroków honorowych, doprawdy nie pojmuję, co u licha powoduje ludzi do procesowania się przed strachem na wróble wobec tylu instancyi i środków mniej kłopotliwych a skuteczniejszych! Toż już lepiej pójść do *mirowego!* A pomimo to u nas powinni mnożyć się ludzie z charakterem i przymiotami prawych sędziów honorowych a w społeczeństwie — rozwijać się wiara w słuszność i siłę moralną ich wyroków. Pamiętać przytem należy, że jeżeli orzeczenie zarządu Kasy adwokatów nie stanie się tłumikiem dla zbyt głośnych instrumentów ich izby, to przy bardzo czułym rezonansie Warszawy często zapewne będzie potrzeba rozstrzygać podobne spory. Niechże więc je ujmie w swą prawidłowość zwyczaj sądów honorowych, o ile skrzywdzeni nie zechcą potwarczych słówek rozpuszczać w filozoficznym stoicyzmie...

Poseł Prawdy.

O PRAWDĘ.

W SPRAWIE MASZYNISTÓW.

Z powodu zamieszczenia w nr. 8 *Prawdy* objaśnień jednego z czytelników naszych co do skarg maszynistów kolei W.-Wiedeńskiej otrzymaliśmy z przeciwnej strony list następujący, który dla uregulowania opinii zamieszczamy.

W imię godła *Prawdy* upraszam Cię, Szanowny Redaktorze, o pomieszczenie następującego wyjaśnienia: Maszyniści i pomocnicy kolei Warszawsko-Wiedeńskiej podawali dwukrotnie do swej władzy prośby o ulgę w uciążliwej pracy, a nie otrzymując żadnej odpowiedzi, wystąpili po raz trzeci, przyczem zastrzegli, że jeżeli i ta pozostanie bez rezultatu, udadzą się wyżej. Mieli tu naturalnie na myśli nie kogo innego, jak ostatnią swą instancyę — Towarzystwo, czyli jego widomego przedstawiciela — Radę zarządzającą. Atoli nieprzychylny zarząd (gdy maszyniści i tym razem nie dostawszy odpowiedzi, postarali się powiadomić ustnie tych, w których położyli swe zaufanie) potrafił owo zastrzeżenie w takiem przedstawić świetle, tak nieprawdziwie a ułudnie wykazać bezzasadność prośby, że odtąd zaczęły krążyć groźne dla podających ją pogłoski. W takiej to właśnie chwili pojawił się głos jednego z czytelników *Prawdy*, zwiedzionego wymownemi cyframi. Otóż mniemam, że gdyby bezimienny informator *Prawdy* przeczytał owe prośby i dowiedział się z nich, iż maszynistom i ich pomocnikom chodziło głównie o tak zwaną „listę starszeństwa,“ według której tracący zdrowie na służbie lub ulegający dłuższej chorobie pozbawiani są prawa do awansu; gdyby był zbadał, jakim to barbarzyńskim mieczem Demoklesa w odniesieniu do maszynistów, a fatalnym dla bezpieczeństwa publiczności je-

*) Dotychczas wyłożył w obszernym liście swym sędziom, że postępowali nieprawidłowo i z wyraźną ku niemu niechęcią. Winienem przytem zaznaczyć, że sąd ten nazywam „honorowym“ ze względu na jego istotę, sam on bowiem nie dał sobie tego tytułu i nie zachował odpowiednich formalności.

żdżącej kolejami żelaznemi jest ów—nigdzie w ucywilizowanym świecie niepraktykowany — środek zmuszania maszynistów, *nawet chorych* a naturalnie i niewypoczętych dostatecznie do pełnienia służby; gdyby się był dowiedział, że w razach opóźnień pociągów (podczas „kampanii zimowej" zdarza się to bardzo często) po 15 lub 16 godzinach nocnej służby, przypada niekiedy 4 do 5 godzin wypoczynku, poczem znów do 14 godzin nocnej pracy; gdyby był rozejrzał się w statystyce śmiertelności, na podstawie której towarzystwa asekuracyjne przyjmują ubezpieczenia maszynistów tylko na równi z wojskowymi, tj. za dopłatą 15% do normalnej, dla zwykłych przeciętnych śmiertelników premii; gdyby się był przekonał, że w niektórych państwach dla otrzymania *pensyi emerytalnej pełnej, obowiązani są służyć lat 25*, u nas zaś wyjątkowo przy drodze W.-Wied. muszą odbywać *owe niewinne „kampanie" przez lat 40*; gdyby ocenił, jakich to herkulesowych sił fizycznych i żywotnych potrzeba, już nie do możliwości korzystania przez lat parę z tej pensyi, ale dosłużenia się jej w życiu doczesnem; gdyby mu było wiadomem, że: kiedy po owych „kampaniach," przynoszących ogromne zyski, następuje rozdział gratyfikacyi i wsparć, lwią ich część otrzymują nie ci, co nadmiernie pracowali, ale ci, co więcej bezwzględności w obarczaniu nadmierną robotą podwładnych okazali; gdyby się był wsłuchał w szept cyfr naciągniętych, dowolnie wybranych i zastosowanych dla osłonięcia prawdy przed chlebodawcami a następnie zmierzył jakiego to zaparcia się rodziny, stosunków familijnych i towarzyskich potrzebuje maszynista do wyjeżdżenia w porze „kampanii" zimowej około 3,600 i więcej wiorst miesięcznie, nie licząc 400 do 500, powstających z zamiany godzin odbywania manewrów na wiorsty; gdyby się był dowiedział jakiego to natężenia wzroku, woli i umysłu wymaga konieczność pokonywania senności podczas jazdy nocą (całych 10 nocy w ciągu miesiąca), jakiemu wyczerpaniu ulega maszynista podczas wielkich upałów, silnych mrozów i wichrów, zamieci śnieżnych, zmuszony pozostawać do 16 godzin bez przerwy na parowozie, niekiedy nie mając czasu na posilenie się strawą gorącą; gdyby dalej wiedział, jakich to moralnych wstrząśnień, zdolnych przyprawić o pomieszanie zmysłów, doznaje maszynista na myśl o okropnych skutkach możliwej katastrofy, jeżeli jej zapobiedz nie zdoła lub na widok doraźnie jemu samemu grożącego niebezpieczeństwa; gdyby dowiedział się, że wskutek tych wstrząśnień moralnych, znojów fizycznych i niewywczasów wszyscy maszyniści ulegają prędzej lub później, w większym lub mniejszym stopniu, chorobie nerwowej, przechodzącej nierzadko w newrostan lub zupełne obłąkanie; że ów maszynista, będąc pomocnikiem przez lat piętnaście lub więcej, musiał obok ciężkiej pracy, o której „czytelnik" pojęcia dokładnego mieć nie może, spalać w ciągu jednej jazdy tam i z powrotem podczas „kampanii" około 10,000 kilogramów (bez mała wagon 100 korcy) a przyczem połowę tej wagi rozbić ogromnych brył węgla; że obok tych wszystkich rozkoszy, zawodu maszynistów, ci „biali murzyni" traktowani są z samowolą bezwzględną, niebiorącą w rachubę sprawiedliwości, uważani za istoty niemogące mieć potrzeb duchowych, obojętne na wpływy i podniety psychiczne; że przyjęto względem nich system poniżania moralnego; gdyby o tem wszystkiem i o wielu, wielu jeszcze innych rzeczach dowiedział się objaśniający redakcyę *Prawdy* „czytelnik," prawdopodobnie wybaczyłby maszynistom ich mniemane lenistwo, dążące do zachowania względnego zdrowia, przedłużenia życia, zrzucenia z siebie odpowiedzialności tak moralnej jak sądowej, a wreszcie te prośby, które dla złagodzenia swej niedoli do władz kolei wnieśli.

Zostaję z poważaniem

J. Szukalski.

Piotrków.

KRONIKA.

Szkoły. Niektórzy kuratorawie okręgów naukowych poruszyli sprawę, czy od osób, które ukończyły kurs nauk historyczno-filologicznych i fizyczno-matematycznych należy wymagać oddzielnego egzaminu przy obejmowaniu przez nie posad nauczycieli. Ministeryum wyjaśniło, że egzamin taki jest zbyteczny, lecz że kurator może w jaki inny sposób przekonać się, o ile dana osoba zdolna jest prowadzić wykład gimnazyalny.

— Ministeryum dóbr państwa zamierza zreformować szkoły ogrodnicze. W tym roku wysyła ono kilku ludzi za granicę, aby się tam zapoznali z ogrodnictwem i owocarstwem w praktyce. Na ten cel przeznaczono 6,000 rs.

— Pani Babczyńska otwiera w r. b. szkołę zegarmistrzowstwa w Warszawie.

— W Petersburgu ma być otwarta szkoła litografii i heliografii.

— Instytut agronomiczny będzie otwarty w Symferopolu.

— W roku ubiegłym, pomimo przeszkód ze strony ministra Gautscha, gimnazya galicyjskie liczyły o 327 uczniów więcej, niż w roku zaprzeszłym.

— W Hesyi Izba poselska ustanowiła, iż najmniejsza pensya nauczyciela ludowego powinna wynosić 1,000 marek, zaś po 25 latach służby 1,600 marek, oprócz mieszkania i wynagrodzenia za obowiązującą naukę dodatkową.

— W Austryi od kandydatów do zawodu aptekarskiego wymaganem jest obecnie świadectwo z sześciu klas, oprócz zaś tego obostrzono egzaminy. Dotąd wystarczało świadectwo tylko z czterech klas.

Wiadomości społeczne. W Krakowie grono kobiet zajmuje się przywróceniem istniejącego dawniej żłobka dla dzieci matek opuszczonych lub niezamożnych.

— Wydział cechu kucharskiego w Warszawie na ostatniem zebraniu oznaczył czas praktyki dla uczniów kucharskich od lat 3 do 5. Po upływie terminu praktyki uczniowie obowiązani będą zgłaszać się do egzaminu na kucharzów podręcznych, czyli czeladników. Egzamin praktykanta trwać będzie przez sześć tygodni w trzech kuchniach, wskazanych przez zarząd cechu, w każdej po dni 14. Potem będzie wydawany patent na kucharza podręcznego. Po latach pięciu wolno się ubiegać o tytuł kuchmistrza.

— P. Janocza, lekarz z Rzeszowa, zawarł umowę z krakowską Akademią umiejętności (właścicielką Szczawnicy) o bezpłatne odstąpienie na lat kilka domu pod „Boga Rodzicą" dla zakładu inhalacyjnego, który ma być urządzony według najnowszych wymagań medycyny.

— Rusiński komitet, zbierający składki dla dotkniętych głodem włościan galicyjskich, za pomocą odezwy w gazetach wiedeńskich wzywa niemców do ofiar.

Sprawy kolejowe. Departament kolei żelaznych zaleca zarządom, aby przy sporządzaniu letnich rozkładów jazdy starały się o usunięcie dawniejszych niedogodności. Pociągi osobowe mają otrzymać bieg przyspieszony; czas przybycia i odjazdu pociągów na stacyach węzłowych powinien być ściśle zastosowany; towarowe mają się dzielić na pociągi bezpośredniej komunikacyi z małymi postojami na stacyach i miejscowe, dla przewożenia materyałów żywności.

— Dotychczasowe przepisy, dotyczące współzawodnictwa między kolejami, zostały w drodze prawodawczej zatwierdzone jako stałe.

— Wkrótce rozpoczną się roboty przygotowawcze około budowy kolei w Bucharze.

— Zarząd kolei Warszawsko-Wiedeńskiej tworzy w Łodzi agenturę ekspedycyjną dla ułatwienia czynności przy transportach ze stacyj dróg Wiedeńskiej i Bydgoskiej.

— Podobno wkrótce na wszystkich kolejach prywatnych zaprowadzone będzie w wagonach oświetlenie elektryczne.

— Zarząd kolei Wiedeńskiej i Bydgoskiej ponawia rozporządzenie, iżby służba na linii tylko w razie ciężkiej choroby wzywała do siebie lekarzy oddziałowych. Mniej chorzy udawać się mają po poradę do mieszkania. Reformę tę wprowadzono w celu zmniejszenia wydatków na opłatę ludzi, użytych do drezyny lub wagonu, któremi się wysyła lekarzy do chorego.

— Na zgromadzeniu akcyonaryuszów kolei Bydgoskiej postanowiono drogę tę połączyć z W.-Wiedeńską; akcyonaryusze tej ostatniej stanowczej uchwały nie powzięli.

Wystawy. We Wrocławiu odbędzie się w czerwcu 27-my międzynarodowy jarmark i wystawa maszyn.

— W Kolonii przez cztery miesiące, od 25 maja do 29 września r. b. trwać będzie wystawa robotnicza (życie domowe robotnika, warsztat, hygiena rzemieślnicza i fabryczna, przyrządy zabezpieczające od nieszczęśliwych wypadków).

Wiadomości administracyjne. Wkrótce przestaną obowiązywać dawne normy opłat na koszty drogowe (progony) dla urzędników, udających się na miejsca przeznaczenia. Opłaty te, od wiorsty i konia, obliczane będą według taryf kolejowych w 30 guberniach Cesarstwa.

— Rada lekarska sporządza przepisy o zajmowaniu posad rządowych felczerów przez kobiety.

— W nowem prawie o pracy dzieci małoletnich ustanowiono kary pieniężne na fabrykantów i właścicieli zakładów za przekroczenia pod tym względem.

Zdrowie publiczne. Na skutek przedstawienia p. oberpolicmajstra m. Warszawy, departament medyczny zatwierdził projekt urządzenia przy tutejszym urzędzie lekarskim laboratoryum hygienicznego dla dokonywania badań chemicznych i mikroskopowych artykułów spożywczych. Kierownikiem mianowany dr. Bujwid.

— Z powodu, iż właściciele warsztatów często w razie choroby odsyłają uczniów swoich rodzicom, powstał projekt rozciągnięcia na warsztaty rękodzielnicze prawa o udzielaniu pomocy lekarskiej robotnikom w fabrykach, z tą różnicą, że właściciele warsztatów będą musieli opłacać składkę na utrzymanie lekarzów, czuwających nad zdrowiem uczniów i czeladników.

Konkurs, ogłoszony przez zarząd łódzkiego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu na ułożenie „Przewodnika podatkowego" rozstrzygnięty został. Pierwszej nagrody nie przyznano nikomu. Dwie drugie po 400 rs. przyznano p. S. Domańskiemu i pp. K. i O. (praca zbiorowa).

Przemysł. W Warszawie powstaje na nowo zlikwidowana spółka jedwabnicza pod kierunkiem pp. Boguckiego, Nagórnego i Magnusa.

— W Łodzi powstała nowa fabryka pończoch.

— W Będzinie p. Szaniawski z p. Dorment, belgijczykiem, zakładają fabrykę plecionek słomianych. Robotników 18 sprowadzają z zagranicy.

Wypadki. W Łodzi spaliła się fabryka Poznańskiego Straty wynoszą około 800,000 rs.

— W kopalniach w Port-Talbot (Walia) wybuch gazów spowodował zapadnięcie się jednego z największych szachtów. Zginęło około 200 robotników.

Zmarli. Marya Dobrzańska, w Warszawie, niegdyś popularna artystka opery tutejszej.

— Edward Baines, w Leeds, najstarszy dziennikarz w Europie.

— Szabo, w Peszcie, najstarszy autor węgierski.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pani W. Kr. w Warszawie. Pogłoska ma tyle w sobie prawdy: Rzeczywiście jedna z czytelniczek złożyła nam dwutomową powieść niemiecką Urszuli Zöge Manteuffel p. t. *Marck Albrecht* (Lipsk, 1883), mającą być pierwowzorem *Dewajtisa* p. Rodziewiczówny. Po przeczytaniu tej powieści i porównaniu jej z polską, znaleźliśmy istotnie liczne podobieństwa: w obu bohaterem jest człowiek tego samego charakteru i imienia, w obu jest on synem z pierwszej żony swego ojca, w obu pracuje z wysiłkiem nad oczyszczeniem z długów i zachowaniem ziemi rodzinnej, w obu ma brata, który stanowi jego przeciwieństwo, i przywiązaną siostrę przyrodnią, w obu kocha kobietę obcego pochodzenia, którą poślubia, w obu ulega podejrzeniom o chciwość i skąpstwo; nie brak nawet dębu pamiątkowego, chociaż on w utworze Manteufflowej nie gra ważnej roli— itd. Ponieważ trudno przypuścić, ażeby dwie autorki tak dalece zgodziły się przypadkowo w pomysłach co do charakterów, imion (Marek, Irena), stosunków, scen i drobnych szczegółów wątku, więc naturalną drogą nasuwa się domysł, że p. Rodziewiczówna przed napisaniem *Dewajtisa* prawdopodobnie *Marka Albrechta* znała i na niego zapatrzyła się. Jej przeto utwór nie jest plagiatem, ale widocznem w wielu rysach naśladownictwem.

Panu Ad. But. w Genewie. Wiersz formą ładny, ale związek pytania, czy bohaterka pamięta ów obraz, z sercem autora, dla nas niezrozumiały.

Pani Zofii P. O jakie „zastosowanie" Pani chodzi? Sam aforyzm jest dość znanym frazesem.

Bezimiennemu. Wydział historyczny istnieje, a plan nauk otrzymać można na miejscu.

Prenumeratorce. Sprawę tę poruszymy.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zasrzeżone do zwrotu przechowuje.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 9 Марта 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.